NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 8 lipca 1905 r. Nr. 28.

Bunt marynarzy na pancerniku „Potemkin“.

(Do artykułu: „Rewolucya w Rosyi“ na stronie 6).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!

40-letni jubileusz działalności O. Laetusa Bernatka

przeora Konwentu i szpitala Bonifratrów w Krakowie.

Zakon Bonifratrów, założony w XVI wieku przez św. Jana Bożego w Hiszpanii i rozgałęziony następnie po całej Europie, jest jedyny, przeciw któremu nie zwracały się nigdy partye polityczne i wyznaniowe. Członkowie Zakonu, zajęci wyłącznie pielęgnowaniem ubogich chorych, bez różnicy wyznania i narodowości, stali zawsze zdala od walk społecznych i dlatego też dziś nawet we Francyi, gdzie reakcya antiklerykalna zwraca się ku wszystkiemu, Bonifratrzy są nietknięci. Jedynie polskie Konwenty uległy prawie zupełnej zagładzie po nieszczęśliwym roku 1863. Poprzednio rząd rosyjski skasował klasztory na Litwie i Rusi, po powstaniu zaś w Królestwie pozostawił jedynie kilka szpitali we własnym zarządzie. Z polskich Konwentów pozostało dwa: w Krakowie i w Zebrzydowicach, które przyłączone do austryacko-czeskiej prowincyi zakonnej, w początkach bardzo słabo rozwijały swoją działalność. Wpływały na to szczególnie w Krakowie: zanik środków, apatya społeczeństwa ku celom zakonnym, a poniekąd brak odpowiednich przedstawicieli.

W tych nieprzychylnych warunkach w r. 1891 zostaje wybrany przeorem krakowskim dzisiejszy jubilat O. Laetus. Urodzony w r. 1847 w Goeding na Morawach po ukończeniu szkół średnich wstępuje do Zakonu Bonifratrów we Wiedniu i w dniu 11 lipca 1865 roku wkłada sukienkę św. Jana Bożego. Po ukończeniu nowicyatu i uniwersytetu ze stopniem magistra farmacyi O. Laetus zajmuje w Konwentach prowincyi rozmaite urzędy, aż w r. 1891 zjawia się jako przełożony w murach Krakowskich Bonifratrów i do dziś dnia z zaparciem się siebie pracuje na usługi bliźnich.

Co zrobił O. Laetus z Konwentu i szpitala tutejszego mogą osądzić ci, którzy pamiętają czasy ubiegłe. Energią i siłą woli przy minimalnych środkach, otrzymawszy w spuściźnie szpital o 24 ch łóżkach— zwiększa takowe do 36-ciu, a od r. 1897 rozporządza liczbą 60-ciu łóżek. Odnawia następnie gruntownie Konwent, urządza ogród dla chorych, zaprowadza wodociągi i kanalizacyę, otwiera bezpłatne ambulatorya dla przychodzących chorych, kołacząc od rana do wieczora o pomoc, narażając się na setki nieprzyjemności i częściowych niepowodzeń. Obcy urodzeniem zżył się duchem



40-letni jubileusz działalności Ojca Bernatka: O. Laetus Bernatek, przełożony konwentu i szpitala Bonifratrów w Krakowie.

ze społeczeństwem miejscowem, a przez zachętę młodzieży polskiej do wstępowania w szeregi „Braci Miłosierdzia“ wykształcił już szereg dzielnych członków Zakonu i przez to w historyi Bonifratrów polskich zapisał się złotemi zgłoskami.

W drugim roku pobytu O. Laetusa w Krakowie wybuchła cholera. Miasto zupełnie nie było przygotowane na przybycie tego strasznego gościa. Brak szpitala epidemicznego i odpowiednich funkcyonaryuszy wywołał poważne zaniepokojenie w zarządzie miasta. Wówczas O. Laetus ofiarował swe usługi. Bonifratrzy na czele z przełożonym stanęli do walki z epidemią i zdali celująco egzamin pożyteczności publicznej.

Koroną jednak działalności O. Laetusa jest budowa nowego szpitala jubileuszowego. Widząc stale zwiększającą się liczbę chorych, potrzebujących bezpłatnej pomocy i pojmując braki starego szpitala, powziął czcigodny jubilat myśl, by na pamiątkę 50-letnich rządów cesarza Franciszka Józefa I, zbudować ze składek publicznych nowy szpital. Myśl zacna, rzucona jako dobre ziarno w urodzajną glebę, plon przyniosła. Wyszła odpowiednia odezwa, składki popłynęły i dziś po kilkoletniej budowie jesteśmy w przededniu otwarcia wspaniałego gmachu użyteczności publicznej, przeznaczonego dla ubogich chorych całego kraju.

Potrzeba, jak się dowiadujemy, jeszcze pewnej sumy, by módz otworzyć szpital w roku bieżącym i sądzimy, że najodpowiedniejszem uznaniem przez ogół zasług czcigodnego O. Laetusa Bernatka będzie składanie ofiar na dokończenie szpitala. Niech popłyną składki drobne, ale liczne, a będzie to najdroższą pamiątką dla zakonnika, który 40 lat przebywszy u łoża ubogich chorych — poznał prawdziwą nędzę i poświęcił się całą duszą szczytnym zadaniom bonifratra.

W dwadzieścia lat po maturze.

Najpiękniejsze lata, najmilsze wspomnienia — to bez kwestyi wspomnienia lat dziecinnych i młodzieńczych. Przyjaźń, na ławie szkolnej zawiązana, jest potężnym węzłem, który przejścia i burze życiowe rzadko kiedy rozluźnić mogą.

W Tarnowie odbył się niedawno zjazd dawnych kolegów, którzy przed 20 laty ukończyli VIII kl. i zdali maturę w tamtejszem gimnazyum. Piękny i rozrzewniający był to widok, kiedy po kilkunastu latach niewidzenia się — witali się wzajemnie uczniowie i profesorzy z ówczesnym dyrektorem, radcą szkolnym, Br. Trzaskowskim na czele. Byli między nimi radcy szkolni pp. Kornicki, Martusiewicz, Kosak, Morawski, Cisło i prof. Rychlik z Jarosławia, były poseł do rady państwa.

Zaraz zrana o godz. 9-ej udali się wszyscy uczniowie wraz z dyrektorem i profesorami do kościoła Filipinów.

Po skończonem nabożeństwie udali się wszyscy do gmachu gimnazyalnego i w VIII klasie w ławkach, zajęli wszyscy swe miejsca, a profesorzy obok katedry.

Po wstępnej, powitalnej mowie dyr. Zawilińskiego, jako obecnego gospodarza gmachu, zabrał głos były dyrektor, radca Trzaskowski, witając swych dawnych uczniów, a gospodarz klasy Cisło odczytał katalog, przyczem każdy z kolegów wspomniał słów parę o przebiegu życia od chwili opuszczenia ławy szkolnej aż do dzisiaj. Z 32 dawnych uczniów zjechało 26, kilku, usprawiedliwiając swą nieobecność, nadesłało telegramy.



W dwadzieścia lat po maturze: Grupa uczestników zjazdu koleżańskiego w dwadzieścia lat po maturze. Fot. L. Majewski. Tarnów.



Fot. L. Majewski. Tarnów

40-letni jubileusz straży pożarnej ochotniczej w Tarnowie: Członkowie straży w otoczeniu przybyłych na uroczystość jubileuszową gości z Tarnowa i okolicy. (Treść na 12.)

Kurs hodowli i weterynaryi w Tarnowie.

Racyonalnie prowadzona hodowla i znajomość weterynaryi to dwie zasadnicze, praktyczne wiadomości, niezbędne w najmniejszem nawet gospodarstwie; chowanie zwierząt domowych i racyonalne leczenie ich w razie choroby, to ważne czynniki w racyonalnem gospodarstwie. Zrozumiał to znać dobrze powiatowy Zarząd kółek rolniczych urządzając w dniach 29, 30 i 31 maja 1905 r. w Tarnowie kurs z zakresu hodowli i weterynaryi dla członków kółek rolniczych powiatów: tarnowskiego, pilzneńskiego, bocheńskiego i brzeskiego. Uczestników zjazdu tego kursu było 60.

Wykładali pp. Wasung Jan, inspektor kółek rolniczych, dr. B. Strusiewicz, J. Gawlikowski

Pow. zarząd podejmował uczestników kursu wieczerzą w dniach 29 i 30 maja w sali jadalnej Internatu pod wezwaniem św. Józefa.

Pomieszczenie uczestników kursu było przygotowanem w realności Rady powiatowej tarnowskiej.

Organizacyą całego kursu zajmował się gorliwie znany ze swej działalności prezes pow. Zarządu ks. dr. Stanisław Dutkiewicz, kanonik katedralny i rektor seminaryum duchownego, oraz sekretarz pow. Zarządu Ściborski Henryk, urzędnik Rady powiadowej.

W numerze niniejszym podajemy zdjęcie fotograficzne — przedstawiające zbiorową grupę członków kółek rolniczych, dla których Związek urządził kursa hodowli i weterynaryi w Tarnowie.



Kurs hodowli i weterynaryi w Tarnowie: Włościanie, którzy odbyli kurs hodowli i weterynaryi w Tarnowie. Fot. L. Majewski Tarnów.



BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

5 (Ciąg dalszy).

W oddali majaczyły chaty włościańskie i znaczył się plamą czerwoną dach wieżyczki kościelnej.

— Jakże wam się podobają, koleżanko — zwrócił się Żalecki do Olgi — okolice naszego miasta?

— Może to chwilowy nastrój, może wrażenie tej jesiennej wiosny, ale upaja mnie ta harmonia i spokój natury.

— Ja nie widzę tu nic ładnego — patrzał przed siebie Waldman zmrużonemi oczyma — ja lubię góry, na tych górach zamek w ruinie a na dole płynie rzeka; to jest widok, jest na co patrzeć.. a tu pola, chałupy i nasze nudne miasteczko.

— No tak — uśmiechnął się Żalecki — jedni wolą dekoracyjność teatralną, a drudzy prostotę i szczerość natury.

— I co ty widzisz tu ładnego, pokaż mi, może ja ślepy — zaśmiał się drwiąco.

— Spójrz na te pola, z których podnoszą się lekkie opary i migocą opalowo w słońcu; jaka gra kolorów na bogatej ziemi, złotawe rżyska, zielona ruń, ciemne plamy świeżej orki, zmęczona zieleń naci kartoflanej, i ciągną się te pola gdzieś w dal niebieską, ujęte z boku cichą wsią, tonącą wśród drzew.

— Ty powinieneś być poetą, a nie socyalistą — zaśmiał się — ty widzisz jednę stronę, idealny obraz, a nie rozumiesz, że te pola, to środek wyzysku robotnika, że te drogi to musiał prawie darmo sypać robotnik, że ta kolej, to pełna łez i potu robotnika. A ty zamiast smutku i bolu, ty się radujesz! Czy to słusznie?

Spojrzał tryumfująco na swych słuchaczy, oczekując ich pochwał i uznania za swą wymowę i partyjne poglądy. Spostrzegł jednak, że Helena i Olga słuchają obojętnie, zaś Baumritt i Edmund rozmawiają wymownie oczyma.

— Wam nie podobają się moje poglądy — uśmiechnął się dumnie — bo wy dzielicie wasze życie na różne części: na poezyę, miłości, naukę, zabawę; a ja żyję jednem życiem, jedną myślą: aby socyalna demokracya zatryumfowała. Czy może mi kto z was zaprzeczyć?

— Nie lubię okularów jednostronności — odezwała się Olga — lubię pełnię życia, ze wszystkiemi jego objawami i wrażeniami, a ciasna jednostronność wydaje mi się kalectwem.

— W jakimże celu przystąpiliście do partyi, jeśli nie myślicie poświęcić wszystkich sił waszych? My nie mamy czasu na poezye, romanse, uczucia... my musimy pracować. Czy nie tak?

Helena, która zaprzyjaźniła się z Olgą, czuła się w obowiązku stanąć w jej obronie.

— Na wszystko jest czas, mówi Salomon, jest czas pracy i odpoczynku po pracy — uśmiechnęła się — i w niczem nie zaszkodzi to partyi, gdy podziwiamy np. ten piękny widok.

— Czy i wam się podoba? — zaśmiał się.

— I jak jeszcze! Patrząc, odczuwam, że ta ziemia jest nasza, jest mi bliska, rodzona.

— Ach, teraz ja was rozumiem! — uśmiechnął się z drwiącem lekceważeniem. — U was gra zawsze szowinistyczna nuta, to ładne... bo nasze, bo polskie! I gdzie wasze zasady międzynarodowej socyalnej demokracyi! No, gdzie? One utonęły w szowiniźmie narodowym.

— Waldman, nie bądź ślepym fanatykiem — zaśmiał się Edmund — moim przekonaniom socyalnym nic a nic to się nie sprzeciwia, że mówię po polsku, myślę po polsku, lubię polską ziemię i polskie obrazy.

— Już ja czuję, że ty się weźmiesz do roboty — mówił zjadliwie — ale do polskiej, nie do socyalnej.

— Kto więcej zrobi, pokaże przyszłość, a teraz chodźmy w górę, na szczyt — zawołał wesoło.

Weszli w cichy las liściasty, który mienił się barwami gorącemi. W promieniach zachodzącego słońca lśniły się liście od ciemnozielonych, purpurowych, pomarańczowych w odcieniach aż do jasnozłotych. Podłoże lasu zasypane było tym barwnym dywanem i wśród chwiejnych cieni przebłyskiwało żywemi kolorami. Nie było w tym młodym lesie powagi i smutku boru, śmiał się życiem, grą barw, rozmaitością ulistnienia, zdawało się, iż drzewa współzawodniczą ze sobą w roztaczaniu swych blasków i kształtów.

Droga pięła się w górę, zwolnili wszyscy kroku, a Olga rzekła z pewną nieśmiałością:

— Może kolega Waldman ma racyę, że pracujemy mało... Już dwa tygodnie istnieje „Pochodnia" i sama nie wiem, co robić, aby przysłużyć się partyi.

— Znajdzie się wkrótce dla was robota — przemówił Żalecki. — Jesteśmy na drodze organizacyi fachowej szwaczek i modniarek... tam będziecie miały koleżanki obszerne pole pracy.

— A kiedy się zacznie? — spytała z pospiechem Helena.

— Przypuszczam, że w niedługim czasie, dam wam znać, a nim to nastąpi, przygotujcie się z odczytem.

— Odczyt? — mówiła Olga z wahaniem — nie wiem, czy potrafię?... czy podołam? Tak mało znam ich życie, warunki, poziom umysłowy...

— Jacy wy zabawni, koleżanko, z waszemi wątpliwościami — zaśmiał się Waldman — te dziewczęta zaledwie skończyły niższe szkoły, mózgi to marne, niewyrobione, przyjmą jak święte księgi wasze słowa o równości, poprawie bytu, a jak zaczniecie mówić o wyzysku, będą was uwielbiały.

— Bierzesz zbyt powierzchownie — zrobił uwagę Żalecki — aby pracownica lub robotnik słuchał ciebie uważnie, musi wpierw nabrać przekonania, że ty istotnie znasz warunki jego pracy.

— Cóż łatwiejszego, jak poznać te warunki — zaśmiał się. — Ja rzadko bywam w parowej cegielni i kaflarni mego ojca, mnie boli los robotników... ale za godzinę dowiem się, ile zarabiają, ile kar płacą... to nie jest żadna sztuka.

— Szczęśliwszy jesteś odemnie — uśmiechnął się Żalecki — bo miesiąc cały byłem robotnikiem w rafineryi nafty i dopiero dowiedziałem się cośkolwiek.

Olga z odcieniem szacunku spojrzała na mówiącego, a twarz jego, dotychczas dla niej obojętna, wydała się jej pełną energii i siły woli. Podniecona przedmiotem rozmowy, zwróciła się do Żaleckiego:

— Czy nie moglibyście, kolego, wskazać mi drogi poznania robotnic?

— Wam? — spojrzał uważnie na nią, na jej suknię — hm... wy za wykwintnie wyglądacie.. możecie być podejrzani, że przychodzicie ze strony pracodawczyń... ale zresztą dam wam adres... zgłosicie się tam i rozmówicie.

— Dziękuję wam — mówiła tonem serdecznym — już mnie męczyła ta bezczynność.

— A nie zapominajcie i o mnie — zawołała Helena — znam trochę dolę szwaczek u krawczyń, mogę się przydać.

— Dobrze, koleżanko.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, a Waldman zbliżywszy się do Żaleckiego, mówił:

— Wiem, że czeladnicy piekarscy organizują się... Ja miałbym ochotę do nich przemówić... postaram się o fachowe wiadomości i już ja poprowadzę agitacyę gorącą... rozpalę ich do czerwoności... Czy dasz mi znać, gdy organizacya będzie gotowa?

— O ile sam będę wiedział.

— No, to dowiedz się — nalegał Waldman.

— Dobrze, o ile nie zapomnę.

— Już ja ci przypomnę.

Weszli na szczyt i usiedli zmęczeni na złomach kamieni.

W dole, niemal u stóp ich leżało miasto. Piętrzyły się domy, kamienice, publiczne gmachy, a ponad całym tym tłumem kamiennym strzelały ku niebu smukłe wieże kościołów, wznosiły się kopuły świątyń i patrząc ze wzgórza, miało się złudzenie, że miasto ciągnie się w nieskończoną dal. Promienie zachodzącego słońca rozświetliły mury i dachy, zapalały blaski na szczytach, a w szybach zajaśniały czerwone łuny. Pięknemu widokowi, grze światła przypatrywali się w milczeniu, wtem rozdarł tę ciszę ostry, przenikliwy, dojmujący gwizd syren fabrycznych, znak ukończenia jednej pracy, rozpoczęcia drugiej.

Łagodny, rozmarzony wyraz twarzy Żaleckiego spochmurniał, oczy zabłysły złowrogo i syknął niemal:

— To gwizd bata pędzącego niewolników do pracy nad siły.

— Nareszcie zrozumiałeś, że nie dla nas są piękne widoki i rozkoszowanie się artystyczne — zaśmiał się Waldman — robotnicy takich uczuć nie znają.

— Ale powinni doznać — odezwała się Olga — i my nauczymy ich tego.

— Kiedy jednak to osiągniemy? — mówił tonem żalu i współczucia Żalecki. — Gdyby człowiek mógł się rozdzielić na atomy i żeby każdy atom mógł czuć i działać, czas wyzwolenia, czas szczęścia i spokoju byłby bliski, ale chwilami rozpacz mnie ogarnia, gdy widzi się ogrom pracy, a tak mało bojowników.

— Jakto? nas nie liczycie!? — zawołała Baumritt z uśmiechem na ładnej twarzy.

Spojrzał na nią i potrząsł głową przecząco. Ujrzał ją modnie wystrojoną, siedzącą z ostrożnością płochliwego ptaka, aby nie zmiąć sukni, w półprzeźroczystej bluzce, przez którą przeświecały delikatne ręce, z oczyma błyszczącemi uciechą i pożądaniem życia.

— Wy, koleżanko?! Alboż wy znacie robotnika, czy dotknęliście, już nie mówię duszy i uczuć, ale materyalnej biedy i nędzy jego? I jak dziwną sprzeczność stanowilibyście z czarnym, osmalonym od dymu i ognia robotnikiem. Powalałby waszą jasną suknię, nie poczułby waszej ręki w swej twardej, spracowanej dłoni.

— Więc wy odsuwacie kobiety! — zaśmiała się drwiąco — ładna mi równość!

— Nie, nie odsuwam — zawołał z żywością i mimowoli spojrzał na Olgę — lecz niech każdy obiera sobie zakres pracy, właściwy jego usposobieniu i sile. Wy możecie się zająć dziewczętami pracującemi, dziećmi...

— Ja nie mam zdolności pedagogicznych — uśmiechnęła się — jak Eisenfach, która zbiera dzieci z ulicy i uczy je prawdopodobnie socyologii... Ja chcę agitować, działać, wpływać...

— Nasza praca jest mrówcza — odpowiedział poważnie — a bohaterstwem jest wytrwałość.

Słowa jego nie wzbudziły zapału wśród słuchaczy. Oni młodzi, pragnęli czynu, bohaterstwa, odznaczenia, chociażby drogo okupionego, a praca cicha, bezimienna, nieustanna nie mogła ich zadowolić. Odczuł on ten ich nastrój i mówił:

— Nie sztuka zabłysnąć meteorem, rozświetlić grozę położenia na chwilę i zagasnąć. Nie pracujemy, nie poświęcamy się dla własnej chwały i rozgłosu, ale dla szczęścia całej ludzkości. I nie my, lecz ludzkość dziś umęczona i poniewierana ujrzy słońce wolności i szczęścia!

Słowa te podnieciły Waldmana, zawsze skłonnego do frazeologii; wstał i wskazując ręką na miasto, zawołał:

— Tam widzę krwiożercze pająki! Wyzyskiwacze i kapitaliści! Oni zbudowali sobie kamienice. pałace, wspaniałe domy i urządzili się w nich wykwintnie, zbytkownie, wygodnie, a inni, a ci, co pracują, toną w nędzy, w głodzie, w umęczeniu. Nie mają miejsca ani czasu, aby utrudzone ciało spoczęło. Ale my to zmienimy! W ich pałacach i mieszkaniach rozsiądą się robotnicy! A te ich kościoły przemienimy na sale wykładowe i koncertowe! Ich kodeksy, ich przepisy spalimy, bo lud robotniczy uchwali nowe prawa!

W chwili, gdy skończył, odezwał się głos drwiący:

— Dzieci, źle się bawicie!

Wszyscy zwrócili się w tę stronę głosu i poznali Zbrojskiego, na którego bladej, zmęczonej twarzy widać było uśmiech przyjaźni i wyrozumiałości.

— Ach, to wy kolego! — zawołał serdecznie Żalecki — siadajcie, co was aż tu przygnało?

— Zapewne to, co i was — usiadł pomiędzy Olgą i Żaleckim — chęć obaczenia wiosny przed zimą... Poznałem głos kolegi Waldmana i zbliżyłem się.

— Co rozumieliście pod waszym wykrzyknikiem? — spytał Waldman chmurny.

Odetchnął głęboko, zdjął kapelusz, otarł chustką spocone czoło i rzekł spokojnym, równym głosem, trochę przyciszonym, cierpiał bowiem na chroniczny ból płuc:

— Póki, kolego, wygłaszacie krańcowe zdania wśród kolegów, wam sprawia to może przyjemność, a im nie szkodzi... Inna rzecz z robotnikami.

— Inna! Inna! — drwił Waldman — bo wy boicie się uświadomienia robotnika! bo skończy się burżuazyjne panowanie! Z was strach przemawia!

— Strach?! — podniósł na niego wymowne oczy — czegóż ja mam się bać? Majątku nie mam, życia nie wiele, cóż mam do stracenia?

I tyle smutku bez goryczy, tyle rezygnacyi było w jego głosie, że wszyscy spojrzeli ze współczuciem na niego i sam Waldman, spuściwszy oczy, szepnął:

— Ja nie chciałem was dotknąć... ale dlaczego stajecie w obronie kapitalistów?

— Istotnie, kolego Zbrojski — zwrócił się do niego Żalecki — wiecie, jak was szanuję i cenię, ale tej waszej niechęci do socyalizmu, tego wiązania się z narodowcami nie rozumiem... Spójrzcie bezstronnie na miasto nasze, wszak je dobrze znacie — mówił podniecając się zwolna — nieliczna gromadka używa wygód, wywczasu, korzysta z dobrodziejstw cywilizacyi, z udogodnień wynalazków i kultury... i ta garstka pasorzytów ciągnie soki ożywcze z kroci biedaków pracujących, gniecie tę falę żywą i płynie, pławi się w promieniach dobrobytu, zbytku, rozkoszy. Lecz patrzcie, oto ta żywa fala, czarna z potu, zakrwawiona z nadmiernej pracy i wyzysku, drgnęła, poruszyła się, czuje, że cierpi i zapragnęła życia. Pobledli oprawcy i wyzyskiwacze, rozległ się głos trwogi, łączą się ze sobą, jednoczą. opierają się na więzieniach, karach, wygnaniach, wzmacniają militaryzm... I oto my młodzi, synowie ich, krew z ich krwi, kość z ich kości, my stajemy w szeregach robotników, my, bojownicy ich wolności i szczęścia! Że my od starszych doznajemy drwin i upokorzeń, że nam się opierają i przeszkadzają, to zrozumiale, ale wy młodzi, gdzie wy idziecie?

Na twarz jego wystąpiły rumieńce zapału. oczy błyszczały mu jak w natchnieniu, a Olga, która pochłaniała jego słowa, była nim zachwycona.

Zbrojski słuchał spokojnie, tylko od czasu do czasu patrzał na wyraz twarzy słuchaczy i znów spuszczał oczy, kreśląc laską znaki na ziemi.

— Kolego Żalecki — mówił zwolna — jesteście historykiem i dlaczego, rzuciwszy się na fale



...Ty powinieneś być poetą, a nie socyalistą — zaśmiał się.

nowoczesnego socyalizmu, nie zabraliście busoli historyi ludzkości?

— Życie kształtuje i pisze historyę, a nie historya życie — odpowiedział szorstko.

— Zwolna kolego... zwolna! — uśmiechnął się — nie od was zaczęły się dzieje ludzkości, nie na was się skończą. Posłuchajcie chwilę... Ludzkość i jej najszlachetniejsi przedstawiciele zawsze dążyli i pragnęli szczęścia wszystkich ludzi. I w tym pochodzie ku szczęściu ludzkości, natrafiali na mury, dzielące ich od upragnionego celu. Pomijam mur straszných bogów, przezwyciężono go i w Grecyi miało zakwitnąć szczęście. Lecz oto powstaje nowy mur. Człowiek panuje nad człowiekiem, pan nad niewolnikiem. To tem mur przedziela nas od szczęścia, precz z nim! Przy pomocy chrześcijaństwa padła zapora szczęścia. Lecz znów okazał się wał zasłaniający. Feudalizm! Usunięto go, a roztęsknione za szczęściem oczy dojrzały nowy mur, zbudowany z nierówności ludzi wobec praw. Wielka rewolucya skruszyła ten mur. I oto w sto lat później ludzkość staje przed nową zasłoną, kryjącą upragnione, wymarzone szczęście. Wszyscy zgadzamy się, że na świecie jest źle, że najliczniejszym członkom ludzkości dzieje się krzywda... i oto ową zasłonę, ów mur dzielący was od szczęścia ludzkości widzicie utworzonym z kapitalizmu, więc precz z kapitalizmem, niech żyje praca! I wy młodzi zdobywacie go, szturmujecie, walicie taranami wiedzy i poświęcenia, bo za tym murem kraj szczęścia! I zwyciężycie, ani na chwilę nie wątpię! Jak padły inne mury, padnie i ten, a sami twórcy jego, sami kapitaliści lub ich synowie będą walczyli w szeregach waszych, kruszyli ten mur, aby osiągnąć i ujrzeć kraj szczęścia!... Fałszywie osądziliście mnie, bo nie byłem i nie jestem wrogiem socyalizmu.

Przez jakiś czas panowało milczenie, rozważano słowa jego, wreszcie przemówiła nieśmiało Olga:

— Wasz pogląd mógłby zniechęcić... mniej wierzących. Czyż wątpicie o szczęściu ludzkości?

— Nie, koleżanko... samo dążenie do szczęścia, chociażby urojonego, jest już szczęściem. Zawsze to walka ideału z materyalizmem chwili dzisiejszej.

— Dlaczego nie zapiszecie się w szeregi nasze? — spytał Żalecki — jeśli przyznajecie nam socyalistom słuszność, jeśli wierzycie w nasze zwycięstwo, dlaczego odsuwacie się?

— Bo nie uznaję waszych sposobów i środków w tej walce. Wy jesteście, mojem zdaniem, tylko przednią strażą, która w zapale zdobywczym nie zauważa, iż swoją bronią niszczy i kaleczy nietylko swoich współtowarzyszy, ale i tych, w imię których walczy.

— A to już herezya! — zaśmiał się Żalecki drwiąco. — Wybieg was niegodny.

— Wybieg? — podniósł zdziwione oczy — zdaje mi się, kolego, że jesteście bardziej jednostronni, aniżeli sądziłem. Wszak przed chwilą słyszałem, jak kolega Waldman wygłaszał zdania o przywłaszczeniu domów i mieszkań, o spaleniu kodeksów, o zabraniu kościołów... i słuchaliście go chętnie, a może pochwalacie, bo to w duchu manifestu komunistycznego, waszej ewangelii — uśmiechnął się. — Na taką drogę ja się nie zgadzam.

— Dlaczego? — zawołał Waldman — znajdźcie lepszą, wskażcie; i owszem!

— Zaraz, kolego... zaraz... Dla szerokich mas ludowych, nietylko u nas, ale w ogóle, stróżem etyki jest obawa przed przekroczeniem prawa i religia. Kolega Waldman, nie dając nic w zamian, głosuje za spaleniem kodeksu, za zniszczeniem kościoła. — I więcej jeszcze, bo uprawnia i zachęca do przywłaszczenia wszystkich warsztatów pracy. Warsztatem jest nietylko ziemia i fabryka, ale stolik uczonego, biblioteka, pracownie fizyczne i mechaniczne i t. d. Otóż wy w ogniu walki rozpętujecie zwierzę w człowieku, obniżacie poziom umysłowy, mącicie uczucie sprawiedliwości, zabijacie w robotniku cywilizacyę wieków... Ewolucya etyczna waszych środków i broni musi nastąpić, bo ideał ludzkości może wprawdzie zakwitnąć wśród morza krwi, ale nieść muszą go czyste ręce, czyste charaktery.

— To filozofia gabinetowa, przy zielonym stoliku, pomiędzy książkami — zadrwił Waldman — ale chcąc zbudzić masy, trzeba brutalnych środków. Ze snu wiekowego nie budzi się łechtaniem i głaskaniem!

— Otwórzcie więc im drzwi i okna, niech płynie światło i odżywcze powietrze. Nie napawajcie ich goryczą i pragnieniem zemsty, nie plujcie na to, co kochali, w co wierzyli.

— Frazesy, kolego, frazesy! — uśmiechnął się z pewnym przymusem Żalecki — widać, że przylgnęliście do narodowców.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rewolucya w Rosyi: Gwałty kozaków w Łodzi: Kozak nabija na dzidę małą dziewczynkę, która się przypadkowo znalazła na ulicy.

Rewolucya w Rosyi.

Płomień rewolucyi wybuchnął znowu w Łodzi jaśniej niż kiedykolwiek indziej. Masy robotnicze, podniecone bestyalskiem zachowaniem się władz, podniosły dumnie głowę do walki na śmierć i życie. I wyległy na ulicę tłumy, gotowe zginąć, ale walczyć przedtem, co się da, ale gruchotać podstawy glinianego kolosu, jakim jest Rosya dzisiejsza, zrewolucyonizowana, wrząca jak wulkan w przededniu strasznego wybuchu, wyniszczona materyalnie i ekonomicznie tak przez wojnę, jak i przez ustawicznie się powtarzające strejki generalne.

W poprzednim numerze daliśmy krótki opis krwawego tygodnia w Łodzi. W miarę czasu dochodziły do nas coraz straszniejsze epizody tych krwawych dni, tak, że dzisiaj, obejmując okiem cały ten obraz nędzy i bezprawi carskich posiepaczy, nie możemy się wstrzymać od oburzenia. I zaiste, trudno pojąć, jak w wieku XX mogło zajść coś podobnego, by tyrania jednego człowieka zawisła młotem nad milionami, żeby z powodu uporu jednostki nie rozumiejącej i nie uznającej słusznych praw milionów, lała się strugami krew ludu, walczącego o wolność, walczącego o praw do życia i prawa człowieka. To, co się dzisiaj dzieje w Łodzi, będzie dla potomności z jednej strony najdumniejszą kartą w historyi, bo teraz ludzie, dotychczas usuwani od życia społecznego, wyzyskiwani na każdym kroku, stanęli razem jako słup ognisty przeciw kolosowi carskiej samowładzy i zadają mu coraz straszniejsze cięgi, z drugiej zaś strony będzie to w dziejach kultury ludzkiej karta może najbardziej żałobna bo fakta, jakie się rozgrywały w Łodzi i Warszawie, urągają dzisiejszej kulturze, zadają kłam postępowi i cywilizacyi.

Łódź zbroczyła się znowu krwią niewinnych. W przeciągu jednego tygodnia, tygodnia, który był koroną barbarzyństwa carskich siepaczy, zginęło od kul i szabel kozackich w samej Łodzi przeszło 3000 ludzi. Z tych blizko połowa znajduje się jeszcze w szpitalu, w stanie nie pozostawiającym wcale nadziei. Krwawe to żniwo carskich posiepaków nie poszło jednakże na marne. Bo krew męczenników za wielkie idee ma tę właściwość, że staje się nasieniem nowych zastępów bojowników, że miast ochładzać, ona potęguje zapał współwalczących i z ludzi, dotychczas małych i na uboczu stojących, robi bohaterów. Tak się zrodziło i rozrosło chrześcijaństwo; im silniejsze fale reakcyi biły w słabą jeszcze opokę Kościoła, tem chrześcijaństwo więcej mężniało, tem więcej zyskiwało zwolenników. Tak samo z historyą rosyjskiej rewolucyi. W lutym, kiedy zarzewie rewolucyi dopiero gorzeć zaczęło, ruch rewolucyjny nie objął jeszcze takich, jakby się w chwili wybuchu spodziewać należało, szerokich sfer. Polała się jednakże w lutym krew robotnicza na ulicach Petersburga, a w kilka dni później powstała Warszawa, Łódź, Dąbrowa, stanął w płomieniach Kaukaz i dzisiaj w 4 miesiące po wybuchu, cała Rosya wre i lada chwila wybuchnie z siłą piorunową, której nic oprzeć się nie zdoła. Ciemiężone tłumy robotnicze, których pozbawiono nawet praw człowieka, z czerwonym sztandarem w ręku i z żądzą zemsty dyszącą pieśnią na ustach, muszą zwyciężyć, bo prawda zwyciężyć musi i musi zwyciężyć wola Ludu. Powiadamy musi, bo też te tłumy robotnicze, które dzisiaj odważnie nastawiają pierś przeciw bagnetom sołdatów, które krwią własną broczą ulice miast Królestwa Polskiego i Rosyi, idą w bój z zaparciem się siebie, z wielkiem hasłem: „Zginąć lub zwyciężyć, a jeśli zginąć, to po to jedynie, by następnym utorować drogę do zwycięstwa!“ Te tłumy robotnicze to bohatery same, to tytany, które dziś na trupach ciał współbraci, w pożodze ognia i krwi bratniej kują nową epokę, epokę odrodzenia.

Rząd carski stara się wszystkiemi siłami zgnieść rewolucyę. Widzi on bowiem coraz wyraźniej, że usuwa mu się z każdym dniem bardziej grunt pod nogami, widzi, że mury samowładztwa rysują się i ten sztuczny gmach, wsparty na samowoli i bezprawiu, grozi lada chwila runięciem.

Obecnie zaś płomień rewolucyi wybuchł z całą siłą, ogarnął największe przemysłowe ogniska Królestwa Polskiego, Łódź, Warszawę, Częstochowe, oraz najznaczniejsze miasta portowe w Rosyi, Odessę, Libawę, Sebastopol, i goreje dalej, rzucając krwawe blaski na całą Europę.

Żołdactwo carskie urządziło na ulicach Łodzi rzeź robotników, rzeź, jakiej carat nie dopuścił się na polskiej ziemi od czasu rzezi Pragi, urządzonej przez Suworowa. Serca wszystkich ludzi kulturnych, tem bardziej zaś serca Polaków, braci owych ofiar carskiej dziczy, drgnęły na wieść o okrucieństwach łódzkich i powszechna, gorąca sympatya otoczyła mordowanych. Wszak tam popłynęła strugami krew polska i to w bohaterskiej walce o wolność. Zbliża się w coraz szybszem tempie czas największych walk, najcięższych ofiar, najszczytniejszych poświęceń; oby tylko robotnicy walczący wytrwali, aby im tylko nie brakło energii do wykończenia tak chlubnie rozpoczętego dzieła, dzieła uświęconego krwią własną, przez posiepaczów cara przelaną. Mamy nadzieję, że robotnicy wytrwają, bo rzeczy takie, jakie zaszły w Łodzi, okrucieństwa, jakich się tam dopuszczano, muszą wywołać u społeczeństwa chęć zemsty, muszą zapalić nowe pochodnie na krwawej drodze do zwycięstwa

A działy się tam w Łodzi rzeczy, które urągają naszemu wiekowi i kulturze. Rozpasane żołdactwo hulało, pojąc się krwią niewinnych. Ażeby sobie wyobrazić całą tragedyę tych wypadków, przedstawiamy pokrótce kilka epizodów, najbardziej dla tej chwili w Łodzi charakterystycznych.

Po kilkudniowych rzeziach, które setkami trupów robotniczych zasłały ulice Łodzi, nastał w tej miejscowości czas prawdziwie wojenny. Nie wolno było pokazać się na ulicy, nie wolno było stanąć na balkonie. Żołdacy, których do Łodzi sprowadzono tysiące, strzelali do każdego, kto im się pod cel nawinął. Na ilustracyach naszych widzimy kilka takich strasznych epizodów. Na jednej z nich przedstawioną jest tragiczna chwila zgonu młodej dziewczyny. Zaledwie wyszła z bramy, wychyliła



Rewolucya w Rosyi: Kobieta, zamordowana na ulicy przez kozaków w czasie rozruchów łódzkich.

się tylko, by wziąć ze środka ulicy dziecko, które tam wybiegło, kula kozacka przeszyła jej pierś. Buchnęła struga krwi, cichy jęk wstrząsnął powietrzem i ofiara carskiego despotyzmu wyzionęła ducha, osierocając dziecinę, której ojciec może w tej samej chwili padł gdzieś na innej ulicy w starciu z wojskiem. Kozacy nie ograniczyli się zresztą do grasowania po ulicach, wpadali do domów, rąbali i strzelali do każdego, kogo napadli. Rzucali się nawet na dzieci niewinne, bawiące się czasem na podwórzu, szczęśliwe, bo nie zdające sobie jeszcze sprawy z tego, co się wokół nich dzieje. Na jednej ulicy kozak nabił na dzidę 4-letnią dziewczynkę i trzymając obnosił ją po mieście, dopóki dziecko nie skonało w strasznych męczarniach.

W czasie tym zginęło w Łodzi mnóstwo żydów, zwłaszcza rewolucyjnych członków „Bundu“. Na illustracyach naszych widzimy kilka obrazków, przestawiających sceny z życia żydów w czasie i po zaburzeniach łódzkich. Jeszcze nie przebrzmiały echa krwawych dni w Łodzi, kiedy wieść o wybuchu nowej rewolucyi obiegła Europę. Wieść ta wywarła niesłychane wrażenie, bo brzmiała ona grobowo dla caratu. Oto w szeregach siły zbrojnej caratu, na której poległa ostatnia nadzieja reakcyjnych kół petersburskich, wybuchł bunt i rozstrój. Zajścia, których widownią była w ubiegłą środę i czwartek Odessa są objawem w ruchu obecnym w Rosyi tak nowym, a przytem tak groźnym, że dziwićby się nie można, gdyby do reszty skruszyły opór cara przeciwko zmianie ustroju państwowego. To już naprawdę była rewolucya. Zachwiały się i zarysowały podstawy caratu, nawet armia okazała się w wielu punktach podminowaną.



Rewolucya w Rosyi: Dziewczyna, która wybiegła z domu, aby wziąć dziecko, stojące na ulicy, pada w bramie od kuli kozackiej, w czasie rozruchów w Łodzi.

Już we środę nadeszła wiadomość, że na pancerniku rosyjskiej floty czarnomorskiej „Potemkinie“ wybuchł bunt marynarzy i że zbuntowana załoga wymordowała swoich oficerów. O przyczynach buntu rozmaite krążą wieści. Według jednej załoga „Potemkina“ była niezadowolona z wiktu, jaki otrzymywała i z postępowania oficerów wobec niej. Przed kilku dniami na drodze z Sebastopola do Odessy przyszło do katastrofy.

Do kapitana okrętu przyszła deputacya załogi ze skargą na wikt i nadużycia oficerów. W imieniu deputacyi przemawiał marynarz Omelczuk. Kapitan, zamiast odpowiedzi, dobył rewolweru i jednym strzałem położył trupem mowcę deputacyi. Według innej wersyi miał mu szablą rozpłatać czaszkę. To wywołało katastrofę. Członkowie deputacyi rzucili się wówczas na kapitana i zabili go, poczem zamordowali jeszcze kilku innych oficerów, a resztę uwięzili.

Przybywszy do Odessy, marynarze zarzucili kotwicę w porcie, skierowali działa okrętowe na miasto i zawieźli zabitego marynarza Omelczuka na molo portowe. Równocześnie oznajmiono sygnałami władzom portowym, że jeśli którykolwiek z towarzyszących zwłokom marynarzy zostanie zaczepiony, załoga rozpocznie ostrzeliwanie portu. Tymczasem straż honorowa marynarzy, czuwająca przy zwłokach Omelczuka opowiadała zgromadzonym tłumom, co zaszło. Tłumy stanęły po stronie załogi. Równocześnie wezwano robotników portowych do zaprzestania pracy, co znalazło powszechny posłuch.

Władze tymczasem postanowiły stłumić bunt siłą. Na „Potemkina“ skierowano działa portowe, a równocześnie na wybrzeże wysłano patrole kozackie. Atak się nie udał. Zanim jeszcze wydano artyleryi portowej rozkaz do rozpoczęcia ognia, „Potemkim“ zniszczyły działa nadbrzeżne i rozpędziły ich obsługę. To dało hasło do ogólnych zaburzeń. Po stronie załogi „Potemkina“ stanęli wszyscy robotnicy w mieście. Wkrótce wywiązała się walka uliczna między tłumami, a wojskiem. W mieście zapanowała anarchia. Fabryki i sklepy zamknięto, mimo to część tłumów rzuciła się na sklepy; wiele z nich zupełnie zrabowano, tak samo część magazynów portowych, zapełnionych towarami. Na ulicy Katarzyny w pobliżu pomnika Richelieugo rzucono bombę, od której zginęły dwie osoby. W ciągu nocy ze środy na czwartek przyszło kilkakrotnie do starcia między wojskiem a ludem. W starciach tych zginęło kilkaset osób. Brali w nich udział także udział także marynarze z „Potemkina“.

Przez trzy dni trwały w mieście ustawiczne walki między wojskiem a demonstrującemi tłumami. Ofiarą padło blisko 10.000 ludzi. Miasto całe zniszczone, sklepy splądrowane, magazyny portowe po części zrównane z ziemią.

Nie udało się jednakże zgnieść rewolucyi doszczętnie. Urzędowa agencya rosyjska doniosła wprawdzie, że załoga „Potemkina“ poddała się, jednak wieść ta okazała się wierutnym fałszem. Flota bowiem, która przybyła ze Sebastola do Odessy, nie przedsięwzięła nawet próby zabrania „Potemkina“ ponieważ wszystkie załogi sympatyzowały z nim i wołały, „niech żyje nowy komendant.“ Cały świat jednak wierzył w niedzielę i w poniedziałek, że „Potemkin“ się poddał, że więc rewolucya wojskowa zrobiła fiasko. Okazało się, że rząd rosyjski zmistyfikował, a raczej bezczelnie oszukał całą Europę. „Potemkin“ uciekł z Odessy do Konstancy, portu rumuńskiego oddalonego o 260 kilometrów od Odessy.

Kiedy przyszła wieść o kapitulacyi „Potemkina“, Europę ogarnęło niezmierne zdumienie.

Jakto? Więc zbuntowani marynarze wolą zginąć sromotnie z ręki kata (bo w razie kapitulacyi władza musiałaby ich na śmierć skazać!) niż bronić się, mając środki po temu i walczyć w obronie wolności, a z nadzieją zwycięstwa i ocalenia życia? Kapitulacya „Potemkina“ wydawała się jakimś zgoła niewiarogodnym aktem niewolników, ale wobec zgodnych doniesień głosy powątpiewania musiały ucichnąć.

Dlaczego jednak przerażony rząd rosyjski odważył się na taką blagę haniebną, której rzeczywistość zaraz kłam zadała? Oto dlatego, że rząd chciał za każdą cenę osłabić piorunujące wrażenie, jakie wieść o buntach załogi w Odessie, w Libawie i Kronstadzie — wywołać musiała wśród społeczeństwa rosyjskiego i partyj rewolucyjnej, która teraz śmiało pocznie głowę podnosić.

Albowiem faktem jest, że 1) załogi czarnom. floty sympatyzują z Potemkinem, 2) że admirał Krieger nie mógł odważyć się na zbrojną bratobójczą akcyę, lecz musiał odpłynąć z powrotem do Sebastopola, 3) że otwarty rokosz podniosły załogi pancernika „Pobiedonoseca“ i jednej łodzi torpedowej.

Ruch rewolucyjny ogarnął zatem całą flotę czarnomorską, a znalazł groźne echo w Libawie i Kronstadzie. Carat teraz naprawdę drży w po



Rewolucya w Rosyi: Dzicz kozacka w Łodzi morduje dzieci robotnika w jego mieszkaniu.



Rewolucya w Rosyi: Delegacya kongresu ziemstw z Moskwy i z dumy petersburskiej, która została przyjętą przez cara 20 czerwca b. r.

sadach, gdy wojsko podniosło rokosz. Jeżeli rewolucyoniści rosyjscy mają energię i siłę, pospieszą na pokład „Potemkina“ i utworzą tam rząd prowizoryczny. Najbliższe dni przyniosą nam wieści największego znaczenia.

Na tytułowej rycinie w dzisiejszym numerze, podajemy obraz wybuchu buntu na „Potemkinie“; podajemy również obrazek z rewolucyi w Odessie, mianowicie, walkę tłumów z wojskiem w magazynach portowych, oraz wybuch bomby na ulicy Katarzyny. Zbiża się powoli koniec samowładztwa rosyjskiego.

W Łodzi dymi jeszcze świeża krew robotnicza, Warszawa jeszcze kipi echami strejku powszechnego, Zagłębie Dąbrowskie ogarnięte strejkiem generalnym, każdy dzień przynosi wiadomości o nowych zamachach, o zabijaniu najróżniejszych przedstawicieli władz przez rewolucyonistów, na Ukrainie i Podolu tysiące wsi ogarniętych, jest strejkiem rolnym, w Kronsztadzie załoga odmawia posłuszeństwa, a na „Kniaziu Potemkinie“ powiewa czerwony sztandar! Oto obraz dzisiejszego stanu w Rosyi.

A jednak carat stoi niewzruszony! Podminowany ze wszech stron, nie posiadając żadnej ostoi, na której mógłby się oprzeć zupełnie bezpiecznie, wysila się jeszcze i reaguje jak może na zamachy Rewolucyi. Zbliża się jednak czas obrachunku. Żywioły liberalne, które do niedawna jeszcze widziały w zapowiedziach reform wyjście z przykrej sytuacyi, mają teraz jedną tylko drogę — wybrania rządu rewolucyjnego. „Ziemcy“, którzy onegdaj odeszli od cara niezadowoleni z jego odpowiedzi na swe prośby o reformy, teraz, jak przypuszczają, podniosą głowy.

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze, fotografię grupy dolegatów ziemstw i scenę z obrad dumy petersburskiej, kiedy jeden z delegatów, M. Nitin zdaje sprawę z audencyi u cara.

Jubileusz przemysłowca.

Personal firmy Singer Comp. Tow. akc. maszyn do szycia obchodził w czerwcu 25-letni jubileusz



Rewolucya w Rosyi: Posiedzenie dumy petersburskiej dnia 21 czerwca: M. Nikitin zdaje sprawę z audyencyi u cara.



Rewolucya w Rosyi: Jedna z bocznych ulic w Łodzi podczas rozruchów.



Rewolucya w Rosyi: Z Łodzi: Nędzarze na ulicy.
Na schodach jednej z fabryk po starciu tłumu robotników z wojskiem, usiadł wyrobnik żydowski ranny. Obok niego dziewczyna, może jego córka, niemym wzrokiem błaga o litość. A na ulicy, zbroczonej krwią — pustka. Gdzieniegdzie tylko widać zwłoki zabitego robotnika.

pracy p. Zygmunta Rottersmanna, reprezentanta tej firmy na zachodnią Galicyę.

W pięknie udekorowanej sali biura, kierownik oddziału krakowskiego p. B. Mieczkowski wobec licznie zebranego personalu miał dłuższą przemowę, a następnie imieniem całego personalu wręczył jubilatowi bardzo gustownie wykonany w pracowni p. Czaplickiego jubilera wieniec srebrny. Równocześnie wszystkie filje zachodniej Galicyi przysłały liczne depesze gratulacyjne.

Pan Rottersman po dłuższej bytności u tej firmy w Warszawie wysłany został do Bośni, Hercegowiny i Kroacyi, celem organizacyi tamtejszych filii, skąd w roku 1895 przeniesiono go do Krakowa i powierzono kierownictwo firmy na Galicyę zachodnią.

Usilnej pracy jubilata zawdzięczać należy, że firma Singer Comp. jest dzisiaj najbardziej w kraju znaną i zasłużonem cieszy się uznaniem.

Pan Rottersman zasłużył się pięknie krajowi, przez wprowadzenie nowego przemysłu. Urządził on mianowicie bezpłatne kursa haftów, po wielu miastach, miasteczkach i wsiach przez co setki kobiet i dziewcząt zyskało łatwy i korzystny zarobek.

Jak się dowiadujemy, zacny jubilat otrzymał obecnie kierownictwo firmy Singera na Śląsku z filiami w Opawie, Cieszynie, Bielsku i Freiwaldau. Podajemy na stronie 13 portret zasłużonego przemysłowca.

Zgon profesora Mikulicza-Radeckiego.

Nauka, a zwłaszcza medycyna, straciła onegdaj jednego z najzdolniejszych, a zarazem najdzielniejszych lekarzy, który geniuszem swoim wzbił się wysoko i w pełni sił jeszcze zmarł na stanowisku bardzo zaszczytnem i bardzo odpowiedzialnem, okrywając żałobą nietylko swoich, nietylko naród, z którego wyszedł, a który stracił w nim jednę ze swych gwiazd, ale i obcych, u których nauką i powagą swoją potrafił zdobyć dla siebie uznanie i miłość. Mówimy tu o śp. Mikuliczu Radeckim, słynnym chirurgu.

Jan Mikulicz Radecki urodził się w roku 1850 w Czerniowcach, gdzie też ukończył szkoły średnie. Po maturze wbrew woli ojca, który go chciał zrobić prawnikiem, wyjechał do Wiednia i poświęcił się studyom medycznym. Ponieważ jednak nie miał środków do życia, utrzymywał się z dawania lekcyi na fortepianie. Bardzo pilnie uczęszczał też do konserwatoryum, robiąc zarówno wielkie postępy w muzyce, jak i w medycynie. Promowany na doktora wszech nauk lekarskich w roku 1875, rozpoczął u prof. Billrotha studya chirurgii, której się postanowił specyalnie poświęcić. Po półtrzecia roku został asystentem Billrotha, który z chlubą wskazywał na młodego uczonego jako na przyszłą sławę. Klinika Billrotha, mając wówczas Billrotha na czele, a Mikulicza i Wolflera jako jego asystentów, stała się jedną z pierwszych klinik na świecie. W roku 1880 habilitował się śp. Radecki na docenta, a w następnym powołano go jako 32-letniego młodzieńca na katedrę chirurgii na uniwersytecie w Krakowie. Tu też przez pięć lat swego pobytu pozyskał sobie taką miłość zarówno u kolegów, jak i uczniów, którzy go wprost wielbili, że kiedy w roku 1886 powołano go do Königsbergu, w Krakowie urządzano mu owacye, byle tylko pozostał. Wydawał mnóstwo dzieł z zakresu chirurgii przeważnie, dzieł, które mu zjednały uznanie i powagę w całym świecie naukowym. W roku 1890 oddano mu katedrę chirurgii w Wrocławiu, gdzie przebywał aż do czasu, kiedy śmierć zabrała go z tego padołu łez. Zmarł 14 czerwca bieżącego roku.

Śp. Mikulicz, jako profesor uniwersytatu Jagiellońskiego, zaskarbił sobie w Krakowie powszechny szacunek i uznanie. To też śmierć jego obudziła u wszystkich żywy żal. Taki sam żal towarzyszył zmarłemu uczonemu do grobu również i ze strony wrocławskiego obywatelstwa, gdyż śp. Mikulicz, zarówno jako lekarz, jak i człowiek, znany był ze swych wielkich przymiotów duszy i serca.

Klinika wrocławska zyskała w nim dyrektora, o jakim tylko marzyć mogła. Pod jego rządami stała się jedną z pierwszych klinik nietylko cesarstwa niemieckiego, ale i całej Europy.

Na stronie 13 podajemy portret zasłużonego profesora.

Cześć jego pamięci!



Rewolucya w Rosyi: Żydzi w Łodzi, opłakujący pomordowanych współbraci.
W zaburzeniach łódzkich, jak to wspomnieliśmy w artykule o rewolucyi rosyjskiej, brali bardzo znaczny udział robotnicy żydowscy, których tam już zginęło parę set. Rycina nasza przedstawia dwóch starców, opłakujących śmierć swoich najdroższych, może braci, może synów, padłych od kul kozackich.



Rewolucya w Rosyi: Walka robotników z wojskiem w magazynach portowych w Odessie.



O dwa Miliony

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

7 (Ciąg dalszy).

— Co? Zabić go?

— *Damn it* – *yes!*

Grabber wstał.

— *Good bye!* Nie chcę do tego ręki przykładać.

Ale Todd zmusił go do tego, że usiadł jeszcze.

– Nie bądź głupcem — rzekł. — Włamywacz ma racyę. Tak się stać musi — w każdym razie. Jeżeli on ma pieniądze i my je wydrzemy, to on musi umrzeć; jeżeli on pieniędzy niema — to również musi umrzeć. Policya, a nawet stary Vanderhook, jednem słowem wszyscy, będą przekonani, że Miles razem ze zrabowanymi pieniądzmi i ze swymi towarzyszami uciekł, a wtedy rzecz skończona.

— Ja sądzę taksamo — dodał Bill Crookey – zatem rzecz już skończona. Lone Jack już wie o wszystkiem. Była tu jego kobieta, której oddałem dla niego list, pisany najczystszą angielszczyzną, a w liście tym wszystko mu wyłożyłem. A teraz, chłopcy, czas do domu. Jest godzina pierwsza po północy, a o tym czasie oczekuje mnie „szalona Zośka“, u której tymczasowo mieszkam. Wspaniała dziewczyna, moi chłopcy, wspaniała. A teraz, dobranoc. Wszystko dobrze?

Klasnęli w wyciągnięte dłonie na znak zgody. Todd, który już nabił rewolwer trzema kulami, to jest trzy życia ludzkie miał już na sumieniu, entuzyastycznie, Grabber trochę leniwie.

— Do jutra więc, Billu. Wspaniały z ciebie drab — rzekł jeden.

— *Well,* jeżeli trzeba, to i ja nim jestem — mruknął drugi.

Bill Crookey skinął głową raz jeszcze, przesłał szynkarzowi całusa ręką i wyniósł się z szynkowni.

Po chwili wszystkich trzech osłoniły cienie nocy. Każdy szedł osobno, za swoim interesem. Bill do „szalonej Zośki“, Todd i Grabber na żer.

VII.

W ciemnej sieni jednego z domów przy Broodway stali znowu razem piękna Lydia i Bob Murphy. Na ulicy, w jasnych potokach elektrycznego światła, przewalała się fala przechodniów, gorączkowo spieszących w tę lub ową stronę. W regularnych odstępach czasu rozlegał się po ulicy turkot pociągu kolei napowietrznej. Czarne cienie wielkich słupów żelaznych, podpierających tor kolei napowietrznej, słały się ciemnemi plamami po ulicy, sięgając aż do bramy, w której stali Bob Murphy i Lydia. Poza sienią leżał wielki pusty dziedziniec. Ani Bob ani Lydia nie potrzebowali się obawiać, że ich ktoś może podsłuchać. Sień bowiem, w której stali, leżała w znacznej odległości od ulicy.

Lydia wyszła z sieni na ulicę i spojrzała na zegarek.

— Kwadrans na szóstą — rzekła. — Ma pan więc jeszcze trzy kwadranse czasu, zanim pan rozpocznie swą służbę.

— To mi obojętne — rzekł Bob z odcieniem niezadowolenia w głosie. — Możeby nawet było lepiej iść odrazu do służby. Ja już pani nie wierzę, bo pani kpi ze mnie.

— Rzeczywiście miałam taki zamiar — szepnęła.

— A więc. Jeszcze mi pani winna całusa.

— Tu, na ulicy? Nie, na ulicy tego nigdy nie zrobię.

— *All right!* Chodźmy zatem do sieni.

— Nie. Tego także nie zrobię, mój Murphy. Ale pan tego całusa dostaniesz. Jednak będzie to pana trochę kosztowało.

— Mianowicie?

— Cierpliwości, Bob. Będziesz pan miał dowód, że pana kocham. Muszę się tylko zdecydować, bo wyjadę z rzeczą, której skutku nie mogę na razie przewidzieć. Zbliż się pan!

Zaprowadziła go w głąb ulicy, podniosła woalkę i chwyciła go za rękę.

— Czy mnie pan znasz, Bob, przypatrz mi się pan dobrze!

— Co to znaczy? Dosyć się już na panią napatrzyłem.

— Ja na pana również — zaśmiała się cicho. — A teraz jedno pytanie. Uwaga: Czy pan znasz Billa Crookey?

Ręka stróża zadrżała w ręku dziewczęcia.

— Kogo? Billa Crookeya? — wybuchnął z impetem.

— Tak jest, Billa Crookey. Chciałeś pan przecież dowodu mojej miłości. Jednak idźmy dalej: Znasz pan Todda, znasz pan Grabbera?

Bob Murphy, nieświadomy co robi, począł się cofać.

— Co to znaczy, dziewczę? Skąd pani zna te nazwiska?

— Czy pan ich zna?

— Nie!

— Kłamiesz pan, panie Murphy, ja znam pana lepiej, niż pan sądzi.

— Do kroćset dyabłów, któż pani jesteś?!

— Ja? Byłoby mi przyjemniej, gdybyś mnie pan już znał. Nazywają mnie „szaloną Zośką“.

— Co? — Bob nie wytrzymał dłużej. — „Szalona Zośka“? Kochanka Billa Crookey?

— Tak jest, teraz pan rozumiesz, dlaczego się wzdragałam dać panu całusa. Onby mnie zabił, gdyby się dowiedział, że ja z panem się wdaję. Ale, jeżeli o mnie chodzi, to niech go wszyscy dyabli wezmą — — chcesz pan, to zostanę przy panu.

Bob oddychał ciężko, rękę wsunął do kieszeni i chwycił rękojeść sztyletu.

— Jeżeli ci mam wierzyć, dziewczyno, to tłumacz się jasno — wyrzekł powoli — stawia pani bardzo wiele na kartę.

— Wiem o tem — szepnęła — ale nie sądź pan, że mnie pan zdołasz przestraszyć. Jeden podejrzany ruch z pańskiej strony, a źdźgnę pana sztyletem pierś. Wyjmij pan rękę z kieszeni — jeszcze pan nie znasz „szalonej Zośki“.

Bob wyjął rękę z kieszeni i roześmiał się.

— Tak, to z pewnością szalona Zośka. Na zbawienie duszy, ale też dała mi jakby w pysk swoją odwagą! Czego pani jednak chce w banku?

— Nie domyślasz się pan?

— Pilnować młodego Vanderhooka?

— Od tego przecież pan jesteś.

— *Well* — więc co?

— No — pilnować pana.

— Co! Mnie?

— Tak jest, pana! Bill Crookey przysięga się na to, że pan masz pieniądze — i, niech mnie dyabli wezmą, ale ja sądzę, że ma racyę. Gdyby nie ja, oni by już z panem byli zrobili porządek.

— Piekielniki! Więc oni mnie posądzają?

— I słusznie!

Nastała chwila ciszy. Bob Murphy toczył ze sobą, jak się zdawało, ciężką walkę.

— Zośka – rzekł wreszcie, obejmując ramieniem smukłą postać dziewczęcia — powiedz szczerze, czy ty mnie kochasz?

— Jeśli pan masz dwa miliony dolarów – odparła z uśmiechem — to jestem w panu po uszy zakochana.

— A jeśli nie mam?

— Hm, to także odrobinę.

— *Well,* niech pani tylko zostanie przy mnie. Może być, że ja tam mam trochę grosza.

— Wobec takich okoliczności pójdę z panem na koniec świata. Ale musisz mi pan dać część pieniędzy, żebym nie była od pana tak zupełnie zależną.

— To się rozumie. Pani jesteś, dalibóg, najsprytniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem. Jeno, jeśli mnie pani nie oszukuje i myśli na seryo zawrzeć ze mną stosunek, to trzeba się spieszyć, bo nie mamy czasu do stracenia.

— A gdzież pan masz pieniądze? Czy dobrze schowane? — zapytała prędko.

— No, o tem potem.

— Przepysznie! Że pan jednak zdecydowałeś się na coś podobnego?! Dotychczas uważałam Billa Crookey za największego geniusza złodziejskiego w Ameryce, bo inaczej nie byłabym przecie jego kochanką — ale, jak mi Bóg miły, pan go przerosłeś!

— Co? Widzi pani? Haha! Bill to chłopaczek, pożałowania godny zbrodniarz. Niechno się jeno stąd szczęśliwie wydostaniemy, a wtedy się pokaże

że Lone Jack — *well*, cóż to jest, dlaczego się pani cofa?

— Oh, nic. Jakiś szmer. Zdawało mi się, że ktoś się do nas zbliża.

— *Well*. Lone Jack będzie od tej chwili najsłynniejszym złodziejem na całym świecie. Ale do rzeczy. Hm, – Zosiu, zapewnij mnie, że ci mogę wszystko powierzyć. Bo sam nie wiem jeszcze, czy ci powinienem wszystko powiedzieć? Widzi pani, mojemu dziewczęciu, z którem żyję od kilku lat jak z żoną, nie zdradziłem się nigdy z tem, co robię, bo jestem przekonany, że ona od niedawna jest w porozumieniu z Billem Crookey.

— Masz pan racyę — przerwała mu Lydia – i to jest jeszcze jeden powód więcej, ażebym tego głuptaska opuściła. Ja wychodzę na zamianie kochanka wcale dobrze, ale zdaje mi się, że i pan jest zadowolony, co? Przypatrz mi się pan. Czyż nie wyglądam jak urodzona dama?

— Pani jesteś prawdziwa lady. A niech mnie na kawałki posiekają, jeśli nie jest tak, jak mówię — zawołał Lone Jack entuzyastycznie, przyciskając dziewczynę do piersi.

— Dobrze więc, Jack. Jakichże dowodów pan żąda? Sądzę, że te, które panu już dałam, powinny panu wystarczyć. Bill Crookey wysłał mnie, abym pana śledziła i pilnowała. Obejmuję więc w banku posadę pisarki, zakochuję się w panu — haha! o mało sama rozumu nie straciłam — i dowiaduję się, że pieniądze ma rzeczywiście pan, a nie Miles Vanderhook. I teraz, zamiast lecieć do Billa i nakłonić go, aby panu choćby przemocą pieniądze odebrał, ja zakochuję się w panu, rzucam się panu na szyję...

— Mnie, czy też mojej zdobyczy?

— I jednemu i drugiemu, Jack.

— *Well*, ma pani racyę. Wszystko w porządku. Pani powinna wiedzieć o wszystkiem. Mój plan jest już gotowy. Tylko jedno mi stoi na przeszkodzie, a mianowicie Miles Vanderhook. Z jednej strony on mi krzyżuje moje plany, z drugiej strony jednak nie chciałbym biednego młodzieńca poświęcać. Wiesz pani, o co chodzi, nie?

Szalona Zośka uderzyła obcasem w bruk, aż się echo po ulicy rozniosło.

— Te psy przeklęte — syknęła — ja wiem, że oni temu młodzieńcowi coś chcą zrobić, mruczał o tem i Bill i Grabber też coś mówił, ale te psy nie powiedzieli mi, kiedy i jak to chcą urządzić...

— No, mniejsza o to, to się da w paru słowach powiedzieć. Otrzymałem dziś przez moją kobietę list od Billa. Jutro o pierwszej w południe, kiedy Miles będzie powracał z Delmonicos, zaaresztują go dwaj z naszej bandy, którzy mu się przedstawią jako tajni ajenci.

— Ah! *Betty good*! A jeśli on nie będzie chciał iść z nimi?

— Słuchaj pani dalej. Trzeci z naszych, ubrany w uniform policyanta, wyjdzie naprzeciw nich i jego to wezmą nasze chłopaczki do towarzystwa, aby uspokoić aresztowanego. Zaprowadzą go do czerwonego Jacka, na Bleekerstreet, tam jest piwnica i tam chcą go zmusić do wymienienia miejsca, gdzie ukrył zrabowane pieniądze; potem zaś muszą go — hm, to już pani może się domyśleć — muszą się postarać o to, aby już więcej nie chodził po świecie. Rolę ajentów i policyanta odegrają znajomi Billa, których on umyślnie sprowadził z Kansas. To wszystko.

— To trzeba udaremnić.

— Dlaczego?

— No, ażebyś pan mógł i zdołał oba swoje skarby, to jest mnie i pieniądze, ukryć w bezpiecznem miejscu.

Bob Murphy przycisnął dziewczynę do piersi.

— Na świętego Jana, z pani jest rafinowany ptaszek. Ja taksamo myślałem. Ale w jaki sposób udaremnić ich zasadzkę?

— Ba, w całkiem prosty. Doniosę dziś Billowi od pana, że pan wpadłeś na ślad, gdzie się pieniądze znajdują, że nie Miles, no, że mister Zygmunt ma pieniądze, krótko, że powinni się jeszcze wstrzymać jakie 3 dni. Nie dobrze?

— Wspaniale! Będę się mógł zdać na panią. Jutro w nocy skarb wydobędziemy i robimy nogę do Canady.

— Jeszcze jedno — przerwała Zośka — opowiedz mi pan przedtem, w jaki sposób postanowiłeś pan wykiwać całą bandę, nietylko policyę i bank, ale nawet własnych współpracowników, co?

— Dobrze. Pani to powiem, a potem pani przyzna, że sprytniejszego złodzieja, jak ja, jeszcze pani nie spotkała. Ale musimy się spieszyć, za kwadrans muszę już bowiem rozpocząć tę moję przeklętą służbę. *Well!* Proszę słuchać! Wie pani, że oni nazywają mnie Lone Jack, samotnym Jackiem, ponieważ od pietnastego roku życia zawsze sam, bez żadnych współtowarzyszy, pracuję, przynajmniej zawsze sam dla siebie unosiłem cały zrabowany łup. Przed półtrzecia rokiem, kiedy w Colorado dokonałem większego włamania, ale nic nie zdobyłem, poczęło mi tam być za gorąco, postanowiłem więc przenieść się na inny bruk, naturalnie znowu sam. Bez śladu zniknąłem z Colorado, policya, która mnie stale pilnowała, straciła mnie z oczu. Zawędrowałem do Nowego Jorku, trzymałem się zdala od naszych i ostatecznie udało mi się na podstawie fałszywych papierów otrzymać w banku posadę stróża. Tu miałem zamiar zrobić z początku małe włamanie. Naprzód jednak paralizował moje plany stary Vanderhook, który chciał w rozmaity sposób wypróbować moją uczciwość, ale nie dałem się złapać. Do dyabła, jeżeli Lone Jack pracuje, tam musi być wszystko w porządku. Miałem szczęście. Wkrótce dowiedziałem się, że młody Vanderhook jest sobie bardzo lekkomyślnym chłopcem, który przepuszcza masę pieniędzy z graczami i kobietami z półświatka i na tem oparłem mój plan. Gdyby mi się udało w jaki sposób włożyć rękę do kasy, to podejrzenie padłoby w pierwszej linii na Milesa, o tem wiedziałem na pewne. Ale on nie miał kluczów do wielkiej kasy, zresztą kasy tej pilnie przed nim strzeżono, i dlatego musiałem wprowadzić do gry scenę włamania, rzeczywistego włamania, któreby odrazu nasunęło staremu Vanderhookowi i policyi myśl, że w tem włamaniu umaczał rękę i Miles, który musiał być w porozumieniu z włamywaczami. Rozumie pani?

— Czy rozumiem? Podziwiam tylko — szepnęło dziewczę.

— Naprawdę? Dobrze! Proszę słuchać dalej, bo muszę się spieszyć — ciągnął Lone Jack. — Robotę moją rozpocząłem przed rokiem, bo całe dwa lata myślałem nad planem, który miał przewyższyć wszystko, co dotychczas w Nowym Jorku zrobiono. Począłem więc badać zamek wielkiej kasy bezpieczeństwa, ale, ponieważ przez długi czas studyowałem artystyczne ślusarstwo, więc udało mi się w krótkim czasie poznać doskonale całe jego urządzenie. Z początku odczepiałem zazwyczaj druty elektryczne i badałem zamek zapomocą woskowych sztabek. Po pół roku doszedłem do tego, że byłem w stanie sporządzić już klucz, który po obrobieniu doskonale nadawał się do zamku. Pierwsza próba przejęła mnie trochę strachem, zamek mógł się bowiem łatwo popsuć. Ale klucz był jak ulany,



— Pani jesteś prawdziwa lady. A niech mnie na kawałki posiekają, jeśli nie jest tak, jak mówię — zawołał Lone Jack entuzyastycznie, przyciskając dziewczynę do piersi.

otworzyłem kasę bez najmniejszych trudności. A teraz, co pani na to? Czy każdy inny, nawet Bill Crookey, będąc na mojem miejscu, nie byłby zanurzył ręki do kasy, co?

— Dalibóg, pan jesteś mistrzem, Jack!

— Opanowałem się, zamknąłem szafę i pracowałem dalej. Dopiero teraz, po półtrzeciarocznym pobycie tutaj, zawiązałem stosunki z naszymi, naprzód z Toddem. On wziął do pomocy Grabbera i Billa, który właśnie wyszedł na wolność. Potrzebowałem chłopaczków, aby się ukryć za nimi. Plan włamania pochodzi nie odemnie, ale od Billa; mówię to, bo nie lubię się stroić w cudze piórka. Przed dokonaniem włamania zrobiłem jeszcze jedną rzecz, o której naturalnie oni nie wiedzieli, o ile im go moja kobieta nie zdradziła. Mianowicie zachorowałem i leżałem dwa tygodnie w domu, bo wiedziałem, że prawdopodobnie tylko sam mister Zygmunt, a może także i Miles będą mnie zastępować; znam bowiem starego i wiem, że on by tak łatwo nocnej straży nie powierzył byle komu.

— Aha! chciałeś pan naprowadzić policyę na myśl...

— Tak jest. Na myśl, że wstępne roboty, że przygotowania do włamania zrobione były wtedy, kiedy Miles odprawował straż. W rzeczywistości zrobiono je dopiero wtedy, kiedy ja napowrót objąłem służbę. Nie trwało to jeno dwie noce, bo Bill Crookey jest mistrzem w wierceniu murów, a w tym wypadku zastosował nową metodę. Pierwszej nocy zwilżył mur jakimś gryzącym kwasem, tak, że mur stał się miękki, jak wapno, następnej zaś nocy powymowano poprostu kamienie i cegły, prawie bez szelestu. Chłopaczki chcieli wprawdzie nakłonić mnie do tego, abym ich wpuścił przez drzwi, ale to się nie zgadzało z moim planem. Musieli przyjść przez ścianę...

— Na chwileczkę — przerwała mówiącemu Lydia. — Jeżeli dobrze słyszałam, to nieślicie po dokonaniu włamania uciec wszyscy trzej razem, nie?

— Naturalnie — potwierdził Lone Jack. — Przecież oni nie wiedzieli nic ani o Milesie, ani o moich planach. Dopiero w nocy, kiedy się włamali, otworzyłem im oczy, a raczej dopiero wtedym je im zaciemnił. Dobrze! Nadchodziła noc, kiedy się tamci mieli włamać. Była godzina szósta, urzędnicy już wyszli. Czekałem do godziny jedenastej. Wtedy otworzyłem kasę, wziąłem teczkę z dwoma milionami dolarków i zaniosłem ją do biura

— Do biura?

— Tak jest. Jest tam jeszcze do dziś dnia.

— Niemożliwe.

Jack roześmiał się tryumfująco.

— Odemnie mogłabyś się pani jeszcze niejednego nauczyć — rzekł wyniośle. — Ja jestem sprytniejszy, niż wszyscy inni. Pod biurkiem drugiego buchaltera wyjąłem z podłogi deskę i tam schowałem teczkę z milionami. Potem położyłem deskę na dawnem miejscu, przybiłem ją gwoździami, przesunąłem biurko na dawne miejsce i wszystko było w porządku.

— Nie mogę myśli zebrać ze zdumienia. Więc pieniądze są tam jeszcze?

— A jeszcze!

— Czemuś pan jednak odrazu ze zdobyczą nie umknął?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. M. Münz. Lwów.

Jubileusz 25-letni poświęcenia sztandaru weteranów wojsk: Chorąży z adjutantami lwowskiego korpusu weteranów.

40-letni jubileusz straży pożarnej ochotniczej w Tarnowie.

Pisaliśmy już nieraz i wykazywali znakomitą obywatelską działalność ochotniczych straży pożarnych. Potrzebne tak bardzo instytucye te powstają zazwyczaj z inicyatywy wybitnych jednostek, a o rozwój ich i byt troszczy się całe społeczeństwo. W Tarnowie odbył się dnia 5 b. m. uroczysty obchód jubileuszu 40-letniego istnienia tamtejszej załogi pożarnej.

O świcie odezwały się salwy, zwiastujące rozpoczęcie uroczystości, orkiestra straży pożarnej odegrała zaś pobudkę. Po nabożeństwie, w którem wzięły udział wszystkie zaproszone stowarzyszenia ze sztandarami, nie wyłączając „Sokoła“ i reprezentacyi miasta, odbyła się defilada, poczem ustawiły się plutony w czworobok przed magistratem, a naczelnik Jamrowicz, złożywszy wszystkim zebranym serdeczne podziękowanie za wzięcie udziału w tak niezwykłej uroczystości, zwrócił się do członków straży z wezwaniem o wytrwanie nadal na zaszczytnem stanowisku obrońców życia i mienia ludzkiego.

Następnie udali się zaproszeni goście na poranek, który odbył się w hotelu krakowskim, a w którym wzięli udział: PP. burmistrz Rogoyski, poseł do Rady państwa Dr. St. Stojałowski, posłowie do Sejmu: Dr Buynowski, Dr Vayhinger i ks. Dr Kopyciński; ks. Dr Górka, prezes „Sokoła“ Dr Tertil z trzema delegatami, p. Majewski jako zastępca prezesa „Gwiazdy“, delegacye wielu stowarzyszeń miejscowych — i dwaj zasłużeni założyciele Straży PP. Franciszek Łazarski i Emil Baldini.

Po ukończeniu uroczystości zdjętą została na pamiątkę tej 40-letniej rocznicy wspólna fotografia całej straży i obecnych gości, którą w własnej reprodukcyi, w numerze niniejszym podajemy.



Fot. M. Münz. Lwów.

Jubileusz 25-letni poświęcenia sztandaru weteranów wojsk: Komendant lwowskiego korpusu weteranów pan Ignacy Czarnota-Bojarski.

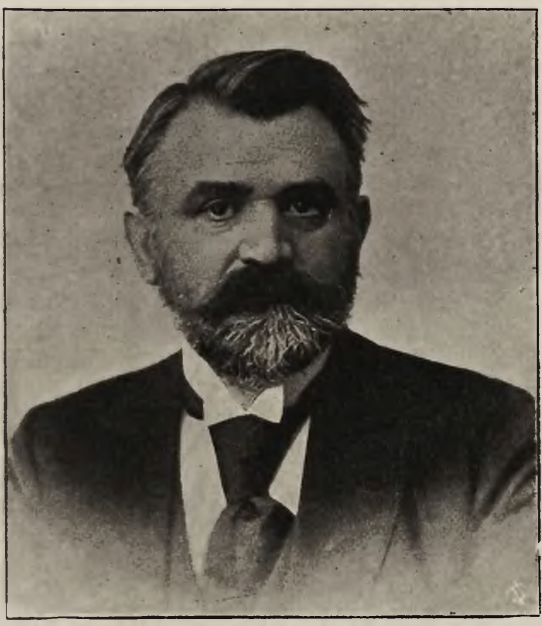
Jubileusz 25-letni poświęcenia sztandaru weteranów wojsk.

W dzień Bożego Ciała obchodził I Gal. Korpus c. k. weteranów wojskowych 25-letni jubileusz poświęcenia sztandaru.

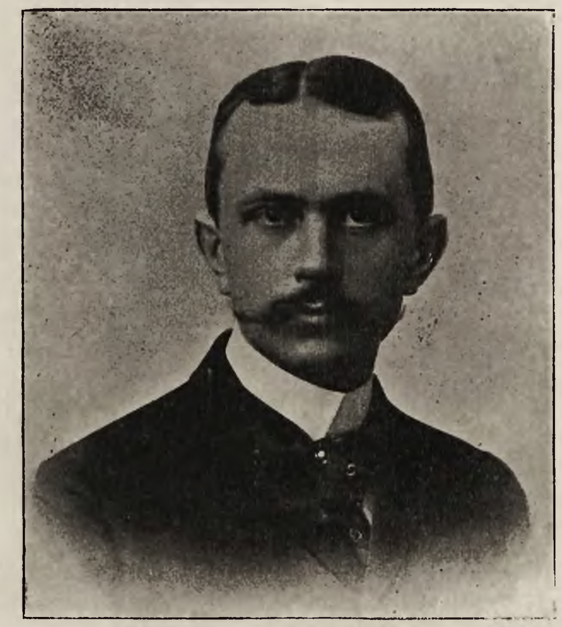
I Gal. Korpus c. k. weteranów wojsk im. arc. Rudolfa we Lwowie, założ. został w r. 1878, a uroczystość poświęcenia sztandaru odbyła się w r. 1880. Chrzestną matką była ś. p. Marya z ks. Sanguszków hr. Potocka. Dziś towarzystwo liczy około



Jubileusz 25-letni poświęcenia sztandaru weteranów wojsk: Korpus weteranów ze sztandarem. Fot. M. Münz. Lwów.



Nowe prezydyum Krakowa: I wiceprezydent miasta Michał Chyliński.



Nowe prezydyum miasta Krakowa: Prezydent miasta Dr. Juliusz Leo.



Nowe prezydyum miasta Krakowa: II wiceprezydent miasta, Józef Sare.

600 członków i ma przy ul. Ochronek własną realność, która sama się spłaca, a której przeznaczeniem jest już wkrótce stać się weterańskim



Jubileusz przemysłowca: Zygmunt Rottersman. (Treść na str. 8.)

domem inwalidów, gdzie znajdzie pomieszczenie kilkanaście osób. Obecnie komendantem korpusu jest aptekarz p. Ignacy Czarnota Bojarski, który objął tę godność po obranym obecnie prezesem honorowym p. Bronisławie Ostoja Sędzimirze. Cel towarzystwa humanitarny, towarzystwo daje nadzwyczajne zapomogi w wypadkach słabości swych członków, ma swego lekarza (dr. Br. Owczarski), zmarłym członkom urządza kompletne pogrzeby z muzyką własną, wreszcie rozdziela odprawy.

Jubileusz poświęcenia sztandaru obchodził korpus uroczystą Mszą odprawioną na intencyę korpusu w kościele OO. Bernardynów, poczem udał się wedle rozkazu komendy obrony krajowej na uroczystość Bożego Ciała, a wreszcie wraz z wojskiem odbył defiladę przed komenderującym generał-zbrojmistrzem Fiedlerem.

Jubileusz pedagoga.

Najuciążliwszym, a zarazem jednym z najbardziej odpowiedzialnych zawodów, jest zawód nauczycielski; że zaś kwiatów on nie przynosi, ale raczej ciernie, wiedzieli już starożytni o tem, tworząc sentencyę: „komu bogi były wrogiem — zrobiły go pedagogiem". Nie zawsze jednak same ciernie przynosi szczytny zawód pedagoga. Wdzięczność uczniów, uznanie społeczeństwa, łagodzi niejeden ból, niejeden zawód.

Jednym z zacnych, miłujących swoje powołanie pedagogów, jest bez kwestyi p. St. Reszódko w Oświęcimiu.

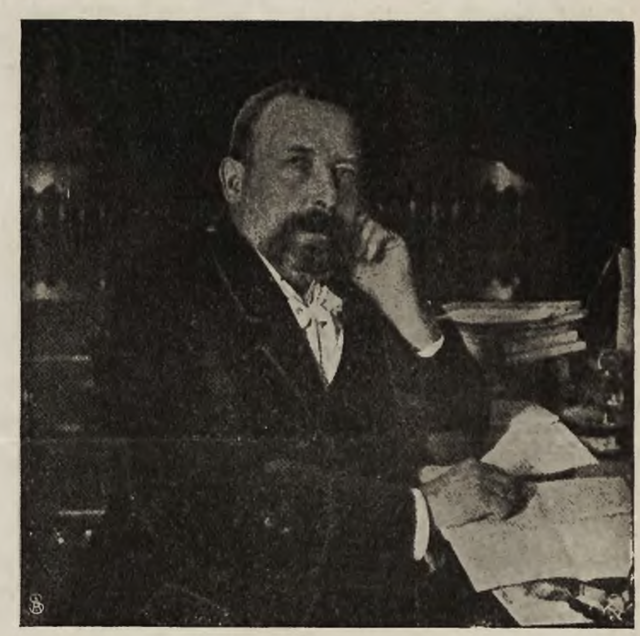
Grona nauczycielskie szkoły męskiej i żeńskiej, dając wyraz sympatyi do swego kierownika, pracującego od 20 lat w Oświęcimiu, oddały cześć zasłudze jego i urządziły obchód jubileuszowy, który się odbył w sali szkolnej, odświętnie przystrojonej po skończonym popisie dziatwy szkolnej 23 z. m. Liczne toasty były uwieńczeniem zewnętrznem uczuć i przyjacielskiej życzliwości dla jubilata, który od szeregu lat zżył się tak z nauczycielstwem, jak z miejscowem obywatelstwem.

W szeregi nauczycielskie wstąpił jubilat 1 lipca 1880. Dwa lata pracował w Wieprzu, 2 w Bielanach, resztę lat w Oświęcimiu, gdzie stale od lat 15 pozostaje na stanowisku kierownika tamtejszej szkoły.

W niniejszym numerze podajemy portret zasłużonego jubilata-pedagoga w grupie starszych nauczycielek, zebranych w czasie jubileuszu.

Nowe prezydyum miasta Krakowa.

W ubiegłym tygodniu na posiedzeniu Rady miejskiej w Krakowie dokonano wyboru dwóch wiceprezydentów. Godność wiceprezydenta miasta jest nietyle zaszczytem, ile trudną, wymagającą wiele pracy i poświęcenia służbą publicznej sprawie. Nic też dziwnego, że wszystkie kluby rozwinęły energiczną działalność, by przeprzeć swoich kandydatów. Partya konserwatywna, rządząca miastem, postawiła jako kandydatów Michała Chylińskiego na pierwszego, a radcę Sarego na drugiego wiceprezydenta. Partya demokratyczna zgłosiła kandydaturę radcy Jana Rottera, posła do parlamentu, twórcę wodociągów miejskich na pierwszego wiceprezydenta. Spodziewano się też powszechnie, że partya konserwatywna zrezygnuje z jednej ze swych kandydatur, bo już samo zgłoszenie się przez demokratów do udziału w prezydyum Rady, a temsamem do pracy i odpowiedzialności za gospodarkę miejską, było objawem z ich strony zarówno dobrej woli, jak poświęcenia pewnych partyjnych dążności na rzecz wspólnej pracy z większością w sprawach powszechnego dobra. Stało się jednak



Zgon profesora Mikulicza-Radeckiego: Śp. Jan Mikulicz-Radecki przy biurku. (Treść na str. 9).

inaczej. Godność pierwszego wiceprezydenta miasta otrzymał p. Michał Chyliński, jako drugi wiceprezydent wyszedł z głosowania radca Sare. Obaj wybrani to ludzie znani ze swojej służby publicznej w Krakowie od lat wielu.



Jubileusz pedagoga: Kierownik Rzeszódko (x) w otoczeniu starszych nauczycieli i nauczycielek zebranych na uroczystości jubileuszowej.

Ze świata

Trzęsienie ziemi w Skutari. – Dawniejsze i nowsze katastrofy. – Rudolf Falb. – Sezon kolejowych kradzieży.—„Letni“ złodzieje. Kradzieże i nasza bieda. — Kurs dla analfabetów polskich i rosyjskich Japonii.

Trzęsienie ziemi, które w ostatnich dniach nawiedziło miasto Skutari w Albanii, zwróciło uwagę świata na tego rodzaju katastrofy żywiołowe, od czasu do czasu wybuchające z ogromną siłą i siejące dokoła zniszczenia. W Afryce i Australii trzęsienia ziemi zdarzają się dosyć rzadko, zato Europa i Ameryka bardzo często ulegają podobnym wybuchom. Zwłaszcza trzy południowe półwyspy europejskie, a mianowicie: bałkański, apeniński, i pirenejski, bywają często widownią trzęsienia ziemi. Obecnie, jak wspomnieliśmy, przyszła kolej na półwysep bałkański, gdzie trzęsienie ziemi zniszczyło miasto Skutari.

Największe katastrofy w ostatnich stuleciach spadły skutkiem trzęsienia ziemi na miasta: San Jago, Lima, Lizbonę, Walparaiso, Tokio, Ischię, Konstantynopol, Lublanę. Miasto San Jago, stolica amerykańskiej republiki Chili, zostało w r. 1647 prawie doszczętnie zniszczone przez trzęsienie ziemi. Straszniejsza jeszcze katastrofa spadła na miasto Limę, stolicę republiki Peru. Od roku 1582 do 1828 nawiedziło Limę 20 silniejszych trzęsień ziemi, a z pośród nich najstraszliwszem było trzęsienie ziemi w dniu 28 października 1746 r. Wtedy na 60.000 mieszkańców znalazło w Limie 3.000 ludzi śmierć pod gruzami walących się domów.

Ogromne wrażenie wywołało trzęsienie ziemi, które 1 listopada 1755 roku nawiedziło Lizbonę, stolicę Portugalii. Dwie trzecie domów legły naówczas w gruzach, a zginęło około 30.000 mieszkańców. Katastrofa ta należy również i z tego powodu do największych, że trzęsienie ziemi dotknęło wtedy $^1/_{13}$ część całej powierzchni ziemi. Słynny geograf niemiecki, Ritter, zaznacza, że naówczas trzęsienie ziemi odczuto w Algierze i Tunisie, na wyspie Korsyce, w Anglii, a nawet w mieście finlandzkiem Abo. Wogóle Lizbona ulegała tak częstym trzęsieniom ziemi, iż dziejopisowie dziwią się, jak mogli pozostali przy życiu mieszkańcy znowu odbudowywać swoje domy na tym samym terenie. Mniejsze katastrofy nawiedzały Lizbonę w latach 1796, 1807 i 1858. Często słabe wstrząśnienia ziemi poprzedzają właściwą katastrofę i są jakby ostrzeżeniem dla mieszkańców. Tak było w marcu 1881 roku w mieście Casamicciola na wyspie Ischia, a zwłaszcza w lipcu 1883 roku, gdy po kilku słabych wstrząśnieniach przyszła prawdziwa katastrofa i zamieniła piękne to miasto w stos gruzów.

Teoryą trzęsienia ziemi zajmują się pilnie uczeni, a znany geolog, Rudolf Falb, próbował nawet przepowiadać tego rodzaju katastrofy. Na wywody Falba poważni uczeni godzić się nie chcieli, uważając je za przedwczesne i nie oparte na podstawach ścisłej nauki. W roku 1901 powstała nawet międzynarodowa komisya dla badania trzęsień ziemi, a centralne biuro jej znajduje się w Strassburgu.

Innego rodzaju katastrofy zdarzają się w pociągach kolejowych od kilku tygodni. Wszak to sezon letnich podróży do różnych miejsc kąpielowych, i klimatycznych, a zarazem sezon kradzieży w pociągach. Złodzieje — oczywiście owi najwyżsi, dystyngowani, opuścili wielkie miasta i przenieśli się na wilegiaturę, ażeby uprawiać swoje rzemiosło w wagonach kolejowych. Mimo ostrzeżeń ze strony prasy i zarządów kolei mają złodzieje owi nieustannie dobry połów. Ludzie czytają ostrzeżenia i zapominają o nich.

W ostatnich dniach — jak donoszą dzienniki francuskie – pewne młode małżeństwo, jechało pierwszą klasą z Nizzy do Paryża. Siedzieli z początku sami, ale po przejechaniu kilku stacyj otrzymali dwóch towarzyszy podróży, ludzi nadzwyczajnie eleganckich, miłych, umiejących wybornie opowiadać. Dwaj towarzysze częstowali małżonka cygarami, żonę cukierkami, a rozmawiali tak zajmująco, że godziny płynęły szybko jakby minuty. Czytelnicy powieści kryminalnych pomyślą zapewne, że cygara i cukierki były nasycone środkiem nasennym, że małżonkowie usnęli, a towarzysze dystyngowani okradli ich i umknęli. Otóż obecnie usypianie ofiar wyszło z mody i owi dwaj towarzysze podróży pożegnali w Marsylii młodą parę, mówiąc, że mają zamiar okrętem udać się do Al-



Karol Pasławski.

gieru. Młoda para, posiliwszy się w Marsylii, pojechała dalej i dopiero po drodze spostrzegła, że mili towarzysze zabrali torebkę z 10.000 franków i kasetkę z klejnotami wartości 30.000 franków. Małżonkowie narobili hałasu, ale skradzione rzeczy przepadły.

W kilka dni po tym wypadku jechała do Nizzy lady Edwis Bunnet. Naczytawszy się o kradzieżach, popełnianych w pociągach, postanowiła być ostrożną i wysiadając w Marsylii dla posilenia się, kazała w obecności urzędnika, pełniącego służbę, zamknąć swój przedział czyli „coupé“. Jadła ona „sandwich“ jeden do drugim, piła herbatę, a posiliwszy się do syta, powróciła spokojnie do wagonu. Jakże przeraziła się, gdy spostrzegła, że zniknęła kasetka z klejnotami. Jeszcze nie ucichła sprawa okradzenia agielskiej lady, gdy pewnej Angielce i dwom jej córkom jadącym na Rivierę, skradziono równie w wagonie kolejowym klejnoty i pieniądze.

U nas tego rodzaju sezonowe kradzieże są nadzwyczajną rzadkością. Nie zdarzają się nawet w pociągach dążących do Zakopanego i wiozących zamożniejszą publiczność. Gdy rozmawiałem o tem z pewnym urzędnikiem policyi krakowskiej i wyraziłem zdanie, że u nas nie ma „letnich“ złodziei, urzędnik odpowiedział z uśmiechem:

– Są mój drogi panie, są, ale nie tłuką się po wagonach, gdyż nie mogą liczyć na dobry połów Dla kilku broszek i kolczyków, dla kilkuset rubli lub reńskich szkoda uprawiać kosztowne rzemiosło „letnich“ złodziei.

Może być, że jesteśmy zanadto ubodzy, ażeby utrzymać sezonowych złodziei. Jak widzimy i bieda do przydać się może.

Pisać kronikę p. t. „Ze świata“, a nie wspomnieć o Japonii, byłoby ciężkim rzeczywiście grzechem. Przecież to obecnie jest „najaktualniejsza aktualność“. Otóż po świetnych zwycięstwach na morzu i na lądzie, daje także Japonia obecnie Rosyanom lekcye na polu cywilizacyi. W rozmaitych miejscowościach japońskich, w których znajdują się jeńcy rosyjscy, urządził rząd japoński szkoły dla analfabetów. Jeden z rosyjskich dzienników, a więc w tym wypadku źródło niepodejrzane, opisuje taki kurs dla analfabetów z pod berła carskiego w mieście japońskiem Himeji.

W październiku ubiegłego roku znajdowało się w Himeji 891 jeńców rosyjskich, z pomiędzy których 144 nie umiało ani czytać, ani pisać. Z tymi analfabetami mieli Japończycy mnóstwo kłopotów. Inni jeńcy czytali książki i gazety, które za pośrednictwem rządu japońskiego otrzymywali. a analfabeci nie wiedząc w jaki sposób zabić czas, stali się plagą i dla swoich towarzyszów broni i dla Japończyków, dopuszczali się licznych wykroczeń, wszczynali bójki itp.

Rząd japoński zamiast użyć surowych kar, założył szkołę dla analfabetów. Utworzył pierwszą klasę, do której zgłosiło się 40 uczniów. Najzdolniejsi podoficerowie rosyjscy pełnili obowiązki nauczycieli, a kierował nauką oficer japoński, znający dokładnie język rosyjski. Kurs trwał od grudnia ubiegłego roku do lutego b. r. i zakończył się egzaminem i rozdaniem nagród. W marcu utworzyli Japończycy w Himeji drugą klasę dla umiejących już czytać i pisać, a do pierwszej przyjęli nowych analfabetów. Obecnie są tam już trzy klasy, w których jeńcy rosyjscy uczą się po rosyjsku, jeńcy zaś polscy po polsku.

Krewni jeńców w Rosyi mimo swojej ciemnoty ocenili należycie to postępowanie rządu japońskiego. Piotr Pierspilicyn, jeniec rosyjski w Himeji otrzymał od swego brata starszego z Kupianska w Rosyi list, pełen pochwał dla Japończyków. „Uwierzyć nie chciałem — pisał ów brat, że ty sam pisałeś do mnie. Jesteś bardzo szczęśliwy, a my powinniśmy dziękować rządowi japońskiemu“. Ta pochwała dla Japonii ze strony prostaczka rosyjskiego w Kopiańsku jest zarazem policzkiem moralnym dla Rosyi. *k. e.*

Karol Pasławski.

Bywają w teatrze ludzie, od których wymaga się wiele pracy, których praca wydaje znakomite, widzialne rezultaty, a oni sami zostają za kulisami... publiczność o nich nic zgoła, albo mało co wie... głównie dzięki pp. recenzentom, którzy tylko to widzą (i to nie zawsze), co im przed sam nos podadzą i co na afiszu jest wyraźnie wymienione.

O panu Karolu Pasławskim recenzenci muzyczni nie piszą, bo go jeszcze na scenie nie widzieli, albo przynajmniej nie zauważyli. A pracuje dopiero lat trzydzieści.. 12 sierpnia b. r. mija lat trzydzieści od czasu, kiedy p. Karol wstąpił do teatru lwowskiego (w r. 1875) za dyrekcyi Stanisława Dobrzańskiego.

W r. 1876 idzie do opery miejskiej w Gracu, gdzie zostaje przez rok, śpiewając mniejsze role, przeważnie jako jeden z dzielnych członków chóru. Stamtąd sprowadza go Dobrzański znowu do Lwowa, gdzie wystawiono po raz 1-szy Aidę, Lohengrina i inne. W r. 1889 otrzymuje propozycyę od dyrekcyi teatrów rządowych w Warszawie na koryfeusza chórów, a reżyser Matusiński przybiera go do swojej pomocy jako pomocniczego reżysera i dyrektora chórów.

Z Warszawy przysyłał p. Pasławski dyrekcyom teatru lwowskiego Schmidtowi potem Hellerowi *miss en scenc* do Otella, Manon Lescaut, Taunhäusera i innych oper któremi to pracami zarekomendował się jako doskonały znawca strony reżyserskiej oper. To było dla dyr. Hellera pobudką, dla której w r. 1898 sprowadził p. Pasławskiego do Lwowa, powierzając mu prowadzenie reżyseryi w operze. *De nomine* reżyserem był Myszkowski, który za ten tytuł pożyczał Hellerowi kostyumów, a nawet mamony — praca reżysera spoczywała istotnie w ręku pana Pasławskiego.

Do teatru miejskiego dostał się z początku jako inspicyent chórów. Znamy pańskie zasługi i zdolności – mówiono mu – masz pan wszystko na reżysera, ale nie masz pan... firmy, a to dziś panie dobrodzieju grunt. — I reżyserem „zrobiono“ p. Adolfa Kitschmana, który miał przynajmniej firmę w... „Śmigusie“ i jako tłómacz operetek, tudzież komik charakterystyczny w operetce. Po kilkotygodniowej reżyseryi Kitschmana, pełni p. Pasławski obowiązki reżysera opery, aż do zeszłego roku t. j. do przyjazdu Chodakowskiego. W tym czasie sam jeden reżyseruje opery: Manon, Wolny strzelec, etc. Potem jest pomocnym Chodakowskiemu w reżyserowaniu oper.

Gdy przed dwoma laty Heller założył operę w Krakowie, prosił i dwa razy wzywał dyr. Pasławskiego, ofiarując mu stanowisko reżysera i ładną pensyjkę, ale p. Pasławski, będąc zakontraktowanym u Chodakowskiego, nie chciał, czy nie mógł zgodzić się na tę propozycyę.

Ubiegłej zimy nie było opery, więc p. Pasławski przeczekał pauzę, zajmując się częścią administracyjną teatru. Ostatnio nawet, podczas występów części naszego dramatu w Kijowie, a operetki w Krakowie, p. Pasławski sam kierował sceną lwowską, zastępując dyrektora i wszystkich sekretarzy.

Pan Pasławski jest człowiekiem muzykalnym, zdolnym i pracowitym, ale...

Ale Pasławski nie umie chodzić koło „interesu“. Przy swojej pracowitości i talencie jest stanowczo zbyt skromny i za mało wymagający.

Gdyby nie ta przesadna skromność jego, może nie szukalibyśmy reżysera opery zagranicą..

Kl.



Z wojny ros.-jap.: Dom, w którym się mieścił bank rosyjsko-chiński, w Porcie Artura po zdobyciu miasta przez Japończyków.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

(Winowajca. — Stanowisko admirała. — Zadanie służby wywiadowczej. — Podział floty. — Jak wygląda bitwa morska. — Szpital morski w Saseho. — Nasze ilustracye. — Z ostatniej chwili).

Bitwa morska pod Cuszimą do dziśdnia nie przestała interesować fachowych sfer marynarskich. Do dziś dnia pojawiają się ciągle w prasie artykuły fachowców, wykazujące, że główną winę klęski ponosi głównodowodzący eskadry rosyjskiej, admirał Rożdiestwieński, który ani w jednej dziesiątej części nie dorósł do powierzonego mu zadania i z Japończykami, z admirałem Togo, chciał się bić tak, jak się na wodach północno-europejskich bił na manewrach swojej floty. W bitwie morskiej admirał ma dziesięćkroć ważniejsze znaczenie aniżeli wódz w bitwie lądowej, bo gdy podczas bitwy na lądzie dowodzący wódz znajduje się daleko poza ogniem nieprzyjacielskim i nie jest osobiście zupełnie narażony na niebezpieczeństwo, w bitwie morskiej admirał musi być ciągle w największym ogniu, a przytem jest najbardziej narażony, bo każdy statek nieprzyjacielski strzela jak do celu do wieży pancernej admiralskiego pancernika, gdzie się znajduje komenderujący flotą admirał. Tu trzeba przedewszystkiem zimnej krwi, ogromnego talentu strategicznego i nieustraszonej odwagi. A tego wszystkiego Rożdiestwieńskiemu właśnie brakowało.

W numerze niniejszym zamieszczamy kilka rycin z bitwy pod Cuszimą. Nie od rzeczy więc będzie, że spróbujemy odtworzyć czytelnikom obraz bitwy morskiej, jak się ona odbywa. Jeden z doskonałych znawców marynarki wojennej pisze w tej sprawie:

„Najważniejszem zadaniem dowódcy floty w czasie wojennym, jest należyte zorganizowanie służby wywiadowczej, aby z jednej strony nie dać się podejść nieprzyjacielowi, z drugiej zaś być wcześnie zawiadomionym o jego zbliżaniu się, sile i jakości okrętów, oraz uformowaniu. Nadają się do tego najlepiej szybkie krążowniki, wyprzedzając *gros* floty, jednakże w takiem oddaleniu, by za pomocą sygnałów pozostawały z nią w nieustannym kontakcie. Obecnie, dzięki wynalazkowi telegrafu bez drutu, odległość taka może być bardzo znaczną. Te krążowniki wywiadowcze mają znów do pomocy łodzie torpedowe, które pełnią rodzaj wysuniętych straży. Lecz nietylko przód floty jest w ten sposób od najazdu zabezpieczony, gdyż po bokach i na tyle znajdują się również krążowniki wywiadowcze z torpedowcami, tworząc w ten sposób koło (o średnicy niekiedy kilkudziesięciu mil), środek którego zajmuje flota i transportowce.

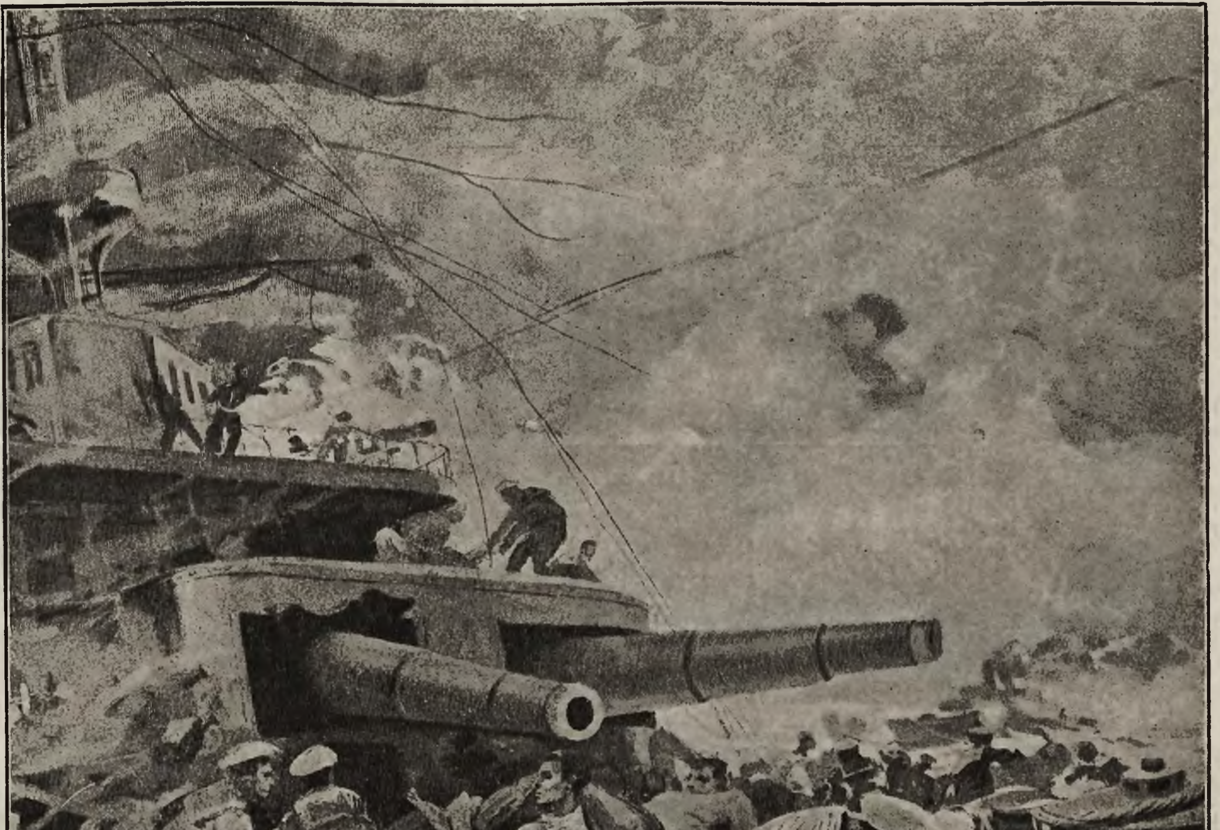
Jak ważną była służba wywiadowcza, przykładem bitwa w cieśninie Cuszimy, gdzie napadnięci znienacka Rosyanie nie mieli nawet czasu odpowiednio się uformować i cała ich flota padła ofiarą ich własnej nieuwagi.

Każda większa flota podzielona jest na dywizye, składające się z 2—5 okrętów; torpedowce tworzą osobną. Dywizyą dowodzi admirał, przebywający na silniejszym podległym mu okręcie, komenderujący zaś flotą znajduje się zazwyczaj na admiralskim okręcie pierwszej dywizyi, ażeby w razie nieszczęśliwego wypadku, mógł go dowódzca jej zastąpić. Szyk bojowy, czyli tak zw. formacye okrętów są rozmaite. I tak: mogą płynąć w linii prostej obok siebie *(Frontlinie)* lub jeden za drugiem (*Kielwasserlinie*) albo pod kątem (*vorspringender Winkel*), którego wierzchołek zajmuje okręt admiralski, a reszta okrętów tworzy ramiona. Formacye takie można tworzyć pojedyńczemi okrętami lub też całemi dywizyami.

Skoro okręty wywiadowcze spostrzegą nieprzyjaciela, dają znać o tem natychmiast komenderującemu flotą, który sygnałami wydaje rozkaz w jakim szyku bojowym ma się flota uformować. Równocześnie zarządza się przygotowanie do boju *(Klarschif zum Gefecht)*. Na ten sygnał, każdy z załogi spieszy na wyznaczone miejsce. Komendanci bateryj przekonywują się, czy wszystko jest na miejscu i w należytym porządku, czy armaty zostały załadowane stosownie do rozkazu, oraz czy transport amunicyi odbywa się prawidłowo. Jeden z oficerów baczy na to, czy pompy i przyrządy do gaszenia ognia, oraz hermetyczne zamknięcia sekcyj funkcyonują należycie. W maszynie, pomimo tropikalnego gorąca, wrze gorączkowa czynność; palacze nakładają nieustannie węgiel, a inżynierowie, stojąc przy aparatach, dyrygują maszyną w myśl poleceń komendanta.

W jadalni oficerskiej, przemienionej na tymczasowy szpital, w którym za chwilę rozlegać się będą jęki rannych i konających, krzątają się lekarze, rozkładając instrumenty i przygotowując opatrunki, oraz bandaże, gdy natomiast ksiądz (o ile jest na okręcie) wyczekuje, by nieść umierającym ostatnie słowa pociechy.

Obok flagi, wywieszonej na tyle okrętu, stoi warta złożona z kadeta i kilku podoficerów. Obowiązkiem ich jest baczyć na sygnały i na wypadek odstrzelenia flagi zastąpić ją natychmiast inną, ściągnąć zaś tylko na wyraźny rozkaz komendanta. Póki istnieje możliwość walki i obrony, wznosi się ona dumnie w powietrzu i nieprzyjaciel zaszczyca ją gradem kul. Jednakże straty są coraz to większe, znaczna część załogi poległa lub stała się niezdolną do boju, a nieprzyjaciel znajduje się w przeważającej sile. Bez najmniejszych widoków zwycięstwa lub ucieczki, byłoby dalsze prowadzenie walki tylko niepotrzebnym rozlewem krwi i pewną śmiercią załogi — czego komendantowi czynić nie wolno. Wszystko, co było w ludzkiej mocy, zostało spełnione, wszystkie środki obrony wyczerpano, a i honorowi stało się zadość, gdyż równie zaszczytnem jest uledz przewadze, jak zostać zwycięzcą. Teraz dopiero następuje rozkaz



Z wojny ros.-jap.: Straszne sceny na pokładzie „Borodina" w chwili, kiedy okręt ten począł tonąć, przebity kulami japońskich pancerników i torpedami.

do ściągnięcia flagi narodowej i wywieszenia białej — na znak poddania się. W tej chwili ustaje ogień nieprzyjacielski, a wkrótce potem wznosi się nad zdobytym okrętem — flaga zwycięzcy.

Przed bitwą nikt jednak nie myśli o poddaniu się. Ważność chwili oddziaływa na wszystkich, nastrój załogi jest poważny. Poznać jednak pewien niepokój, spowodowany niepewnością nastąpić mających wypadków, lecz zarazem postanowienie walczenia na życie lub śmierć. W takiej chwili myśli wznoszą się mimowolnie do Stwórcy z prośbą o zwycięstwo, a usta szepcą kornie modlitwę...

Tymczasem obie floty zdążają naprzeciw siebie. Z początku tylko chmury dymu oznaczają ich położenie, lecz niebawem zarysowują się na horyzoncie sylwetki okrętów. Zrazu niewyraźnie, rosną następnie w miarę zbliżania się tak, że wolnem okiem widać porozwieszane na nich sygnały, którymi dowódca udziela ostatnich rozkazów. Ponieważ nie można było podejść niespostrzeżenie nieprzyjaciela, atak torpedowców nie mógł być wykonany, otrzymują one rozkaz cofnąć się na bok lub w tył i wyczekiwać dalszych rozkazów. Flota, uformowana w szyku bojowym, mknie całą siłą pary naprzód. Wtem, na jednym z nieprzyjacielskich okrętów, ukazał się mały obłoczek białego dymu, któremu towarzyszy wkrótce huk, niby odgłos dalekiego gromu: — to pierwszy strzał armatni — bitwa rozpoczęta...

Bitwę morską rozpoczynają zazwyczaj ciężkie działa, skoro kadłuby nieprzyjacielskich okrętów wyłonią się na horyzoncie (6—7 klm.), a jakkolwiek strzelanie na taką odległość nie może być w skutkach swych rozstrzygającem, to wobec szybkiego zbliżania się przeciwników, każda chwila zmienia położenie na korzyść artyleryi, gdyż siła pocisków zwiększa się w miarę zbliżania się celu.

W odległości 4 klm., rozpoczynają ogień ciężkie szybkoładowne armaty, a dalsze zbliżanie się flot wprowawadza w akcyę coraz to mnieszy kaliber tych dział, których pociski zwracają się przedewszystkiem przeciw wieżyczce komendanta, urządzeniom sygnałowym i aparatom torpedowym, oraz służącym do sterowania. Urządzenia i aparaty te mają groźnego nieprzyjaciela w szybkostrzałowych armatach, gdyż nie zawsze można je zabezpieczyć silnym pancerzem. Walka artyleryi rozwija się w całej pełni w oddaleniu 4 klm. Z hukiem ciężkich dział mięsza się oddźwięk szybkostrzałowych i trzask uderzających granatów. Tu pocisk, przebiwszy pancerz i eksplodując, zdemontował działo, a załoga o ile ocalała, odchodzi na inne posterunki, by zastąpić tych, którzy bądź to polegli, bądź też w inny sposób stali się niezdolnymi do dalszej walki. W innem znów miejscu wybuchł pożar, który załoga stara się ugasić. Wskutek pocisku, pancerz pod linią wodną został uszkodzony i w tej chwili dotyczące sekcye hermetycznie zamknięte. Działa szybkostrzelnicze, ustawione na pokładzie i masztach, zasypują pokład nieprzyjacielski gradem kul. Liczba poległych zwiększa się z każdą chwilą; gdzie tylko spojrzeć, widać strumienie krwi i poszarpane szczątki ciał ludzkich.

Jeżeli kierunek flot, który je sprowadził naprzeciw siebie, pozostanie i w dalszym ciągu niezmieniony, natenczas doprowadza on do wzajemnego przełomu szyku bojowego. W miarę zbliżania się przeciwników, skutki pocisków armatnich są coraz straszniejsze. Granaty na bliską odległość przebijają każdy choćby najtwardszy pancerz, wpadają na maszyny, niszczą ster, a niejeden okręt traci swobodę manewrowania. Oderwane płyty pancerne przelatują w powietrzu, zgruchotane maszty walą się na pokład, tamując komunikacyę. W tem wpada granat do składu amunicyi i wybucha. Następuje straszliwy huk i łoskot, w powietrzu unoszą się szczątki okrętu i ludzi, a za chwilę — okręt przestał istnieć... Lecz walka trwa dalej. W chwili przełamania linii nieprzyjacielskiej, walą armaty z odległości kilku zaledwie metrów, a torpedy, wyrzucone z bocznych aparatów, czynią straszliwe spustoszenia. Niejeden komendant, upatrzywszy stosowną chwilę, wbija się ostrogą całą siłą pary w przeciwnika, w ogromny otwór wlewa się woda olbrzymią strugą — jeden moment i pancernik leży na dnie morskiem. O jakimkolwiek ratunku załogi w tym wypadku i mowy być nie może. Siła uderzenia okrętu, pędzącego całą siłą pary, jest wprost straszną. Przy pancerniku o pojemności 12.000 i chyżości 16 mil morskich na godzinę, uderzenie to jest 108,000.000 razy silniejsze od uderzenia 1 klg. poruszanego z szybkością jednego metra na sekundę, a potęguje się ono jeszcze, jeżeli obydwa okręty zdążają naprzeciw siebie. Łatwo więc sobie wyobrazić, jak strasznem musi być takie zetknięcie się pancerników. Po przełamaniu linii nieprzyjacielskiej, wchodzi na widownię flotyla torpedowa, kończąc dzieło zniszczenia.



Z wojny ros.-jap.: Kapelan japoński w kwaterze gen. Kurokiego.

W wypadku, jeżeli kierunek flot przed zetknięciem się zostanie odpowiednio zmieniony, dalszy przebieg bitwy zawisł przedewszystkiem od skutków pocisków armatnich. Zwycięża więc lepiej obsługiwana i silniejsza artylerya, poparta zręczną taktyką i torpedowcami, działającymi pod osłoną dymu.

Walka skończona. Jedna flota z resztą okrętów zdołała ujść pościgu; kilka jej okrętów poszło na dno, a kilka ciężko uszkodzonych dostało się w ręce przeciwnika. Ten ostatni z flagą, opromienioną zwycięstwem, wysyła za uciekającymi jeszcze kilka strzałów armatnich, które wśród głośnych okrzyków rozentuzyazmowanej załogi brzmią jak gdyby dane były dla tem większego uczczenia święta — święta zwycięstwa....

Lecz pozostaje jeszcze do spełnienia smutny obowiązek. Zaszyci w płótno żaglowe, z przywiązanemi do nóg kulami, leżą na deskach, trzymanych przez kolegów, polegli towarzysze broni i zawodu. Wolno zniża się flaga narodowa do połowy wysokości, warta występuje pod broń, a zgromadzona na pokładzie załoga słucha ze łzami w oczach rzewnych słów komendanta, żegnającego na zawsze poległych. Po odmówieniu modlitwy, warta prezentuje broń, załoga zdejmuje czapki, deska przechyla się, z głuchym łoskotem wpadają zwłoki w morze, na chwilę otwiera się niezmierzona głębia oceanu, by przyjąć do swego łona tych, którzy zdala od swoich ponieśli śmierć bohaterską....

Takiem bywa zakończenie bitwy morskiej....

A tymczasem w domu pozostała rodzina oczekuje z niecierpliwością powrotu ojca i męża. Nareszcie otrzymuje żona z admiralicyi list z doniesieniem, że mąż jej poległ w bitwie morskiej i został „pod takim stopniem długości a takim szerokości geograficznej“ pochowany. Na tę wiadomość głuchy jęk wydobywa się jej z piersi, a przerażone dzieci, widząc bladość i rozpacz matki, cisną się do niej, pytając: „gdzie ojciec?“ Słowa te wstrząsają nieszczęśliwą; łkając głośno, tuli do zranionego serca biedne sieroty i dzieli się z niemi straszną wiadomością — że już nie mają ojca.... Za chwilę widzimy całą rodzinę, pochyloną nad



Z wojny ros.-jap.: Japończycy zabierają rannego Rożdiestwieńskiego do niewoli z pokładu torpedowca „Biedowyj“.



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze japońscy, przebrani za samurajów, oddają ostatnie honory poległym towarzyszom broni po zwycięstwie nad Szaho.



Z wojny ros.-jap.: Epizod z bitwy pod Cuszimą: Tragiczne zatonięcie pancernika „Borodino".

mapą, a rzewne łzy zraszają to miejsce, w którem spoczywa ich żywiciel!....“

W głębokości kilku tysięcy metrów, wśród niczem nie zamąconej ciszy i wiecznej ciemności, leży ofiara krwiożerczej walki. Brak kwiatów i krzewów na grobie, któreby pielęgnowały wdowa i sieroty, zastępują barwne wodorosty i prześliczne korale, a cudowne perły, niby lampki na Dzień Zaduszny, oświecają grób marynarza...

Oto mniej-więcej prawdopodobny obraz bitwy morskiej.

Wieści, nadchodzące w ostatnich czasach z Japonii, wciąż wspominają o szpitalu morskim w Sasseho. Po strasznej bitwie w cieśninie Koreańskiej, w szpitalu tym znalazły się setki rannych Rosyan i Japończyków; znalazł się tam także admirał Rożdiestwieński. Nic też dziwnego, że do szpitala tego ciągną szeregi korespondentów rozmaitych narodowości. Sasseho stało się dziś miejscowością, najliczniej zwiedzaną, a nazwa jej rozbrzmiewa wszędzie, zarówno w Japonii, jak i w Europie.

Sasseho znajduje się na wybrzeżu wyspy Kiuszju, najbardziej wysuniętej z większych wysp japońskich. Klimat tam jest nadzwyczaj łagodny, zbliżony raczej do ciepłego, aniżeli do naszego umiarkowanego. Okolice Sasseho są dla Japonii tem, czem Riviera z Nizzą i San Remo dla Europy. I jak w Europie, w sąsiedztwie Riviery, znalazły się dwa ważne porty wojenne: Tulon i Genua, tak samo w Japonii Sasseho stanowi jeden z najgłówniejszych punktów marynarki wojennej.

Szpital morski, znajdujący się w niewielkiej odległości od portu, jak wszystkie szpitale japońskie, odznacza się tem, że twórcy jego uwzględniali nie wygląd zewnętrzny, ale wygodę rozmieszczeń i urządzeń wewnętrznych. Znajduje się tam dziesięć pawilonów szpitalnych, wszystkie z drzewa, obszerne, wygodne, pomalowane na szaro, pokryte dachówkami również szaremi, z cementu wyrobionemi. Podłogi wszędzie ułożono z masy drzewnej (ksylolitu), jako tanie, trwałe, łatwe do utrzymania czystości, a właśnie czystość, o jakiej my, Europejczycy, zaledwie słabe mamy pojęcie, jest główną cechą szpitalów japońskich.

W każdym z pawilonów w Sasseho stało przed bitwą pod Cuszimą po 60 łóżek. Skutkiem wielkiego napływu rannych liczbę tę powiększono, a prócz tego wzniesiono kilka baraków tymczasowych, przeważnie płóciennych, dla lżej rannych. Pobyt w takim baraku, wobec nadzwyczaj łagodnego w tej porze klimatu na Kiuszju, jest bardzo przyjemny.

W jednym z pawilonów znajduje się sala operacyjna, siedem metrów szeroka, dziesięć metrów długa, a cztery wysoka. W samym środku sali znajduje się olbrzymia „latarnia“ — wzniesienie o trzy metry nad sufitem, pokryte szklanym dachem. Latarnia ta dostarcza sali w ciągu dnia mnóstwo światła. W nocy szpital oświetlony jest rzęsiście elektrycznością. Oszczędna budowa tej sali przedstawia tę korzyść, że tanim kosztem może być przerobiona i zastosowana do dalszych postępów chirurgii. Wydawanie wielkich sum pieniężnych na budowę marmurowych salonów w szpitalach Japończycy uważają za bezrozumne marnotrawstwo.

Szpital w Sasseho należy do najlepiej urządzonych, chociaż wśród personalu lekarskiego znajdują się w nim przeważnie siły drugorzędne. Ale pod względem czystości, sumienności i dokładności obsługi szpitalnej, Sasseho nie daje się wyprzedzić innym szpitalom japońskim.

KRONIKA LWOWSKA.

Nie ma wężów morskich. — Zajmujemy się dziećmi. — Popisy, popisy, popisy. — Sprawozdania i ich skutek. — Familia. — Przyszłe gwiazdy. — Dramaty. — Przeludnienie Lwowa, a rakarz miejski. — Pustki na ulicach. — Pani, pincz, rakarz i wypadek. — Inna dama z pieskiem. — Pan porucznik z monoklem. — Czy ten pies do sprzedania. — Cudowny sposób. — Zwrot i zmiana ról. — Wyjaśnienie. — Zaciemnienie. — Fortel się udał, ale skutku nie ma. — Rzecz krąży. — Abituryenci kelnerami. — Czy chęć pracy? — Wybór prezydenta. — Umowy i targi. — Dobbra posada do sprzedania. — Licytacya. — Szał festynowy. — Bez loteryi fantowej. — Co można powiedzieć o wyścigach? — Artyści wrócili zdrowi.

Pomimo, że sezon ogórkowy, o którym się tyle mówi i pisze, rozpoczął się na dobre, żaden z dzienników lwowskich nie wyłowił dotąd ani jednego węża morskiego, co jako wielce znamienny objaw zanotować należy.

To zaniedbanie obowiązków dziennikarskich ma swoje powody. Dzienniki zajmują się teraz dziećmi. Naprzód idą wszystkie wyniki egzaminów dojrzałości we wszystkich galicyjskich szkołach średnich, potem sprawozdania z egzaminów w szkołach prywatnych, a wreszcie „popisy“.

Popisuje się teraz cała lwowska młodzież w wieku od 3—25 roku życia w kilkuset szkołach, zakładach, lyceach, ochronkach, przytułkach, domach, konserwatoryach, freblówkach itp. a dzienniki, a raczej ich sprawozdawcy z zatrważającą sumiennością omawiają szczegółowo produkcye dorastających gwiazd, z czego ciotki, mamy, babcie, kuzynki i stryjenki, cieszą się do łez, czytając owe „recenzye“, wycinając je i oprawiając w ramki z oślej skórki na wieczną pamiątkę, że „to aż w gazetach stało“, jak to nasza Fuńcia z brawurą odegrała na cytrze fugę Bacha, a Niuśka na basie wyrypała jakiegoś marsza, a Tyńcia z nadzwyczajnem uczuciem zaśpiewała aryę z tej tam Halki, a Fruzio przez całe trzy kwadranse wytrzymał, bębniąc na fortepianie koncert Chopina, a już Lućcia to doprawdy wyrośnie kiedyś, a może już za jaki roczek, na drugą Schuppównę, lub przynajmniej na Kruszelnicką, bo kiedy zaśpiewała trzy pieśni Galla, a jedną Niewiadomskiego, to cała publiczność, (tj. familia i sąsiedzi) tak mocno klaskała i wywoływała, że pani Zrzędalska dostała chrypki, pani Wiercipięcka zgubiła kolczyk z prawdziwym brylantem, a panna Joasia nawet zemdlała z zachwytu, czy może z zazdrości, a jakże, i trzeba ją było wyprowadzić ze sali na kurytarz, gdzie ją potem stróż długo, długo oblewał zimną wodą.

Lecz to są już prawie gwiazdy. My jednak mamy gwiazdeczki kilkoletnie, które „czarująco“ deklamują „Powrót taty“ i „z precyzyą“ grają... dramaty, że niech się schowa Pawlikowski z całą budą teatralną.

Tu dopiero zachwyt recenzentów dochodzi do zenitu, bo nie zapominają nawet pisać o charakteryzacyi „utalentowanych“ amatorów. Jednem słowem możemy być spokojni o przyszłość naszej sztuki, bo podrastające pokolenie już dziś odbiera zasłużone oklaski i — recenzye.

Mniej pocieszającym objawem jest, że rakarz miejski uważa Lwów za przeludniony i, ażeby temu przeludnieniu zaradzić, wyłapuje co niepotrzebniejszych ludzi na ulicy. Nie pomogło, że wielu mieszkańców wyjechało na wilegiaturę, nie pomogło i to, że wszystko kryje się przed upałem i nie wychyla nosa z domu, nie pomagają wreszcie „ujadania“ dzienników na rakarza i na tę hyclowską praktykę — rakarz łapie ludzi, a magistrat na to patrzy i pęka ze śmiechu.

Ten niekonstytucyjny środek wyludniania miasta ma swój powód w tem, że magistrat na wieść o pojawieniu się wściekłego psa pozwolił rakarzowi czynić wszystko, co mu się podobać będzie, byle znikła wścieklizna. A że rakarzowi i niektórzy ludzie, (może nawet słusznie) wydają się wściekłymi, więc można sobie wyobrazić nasze położenie. Stąd pustki na ulicach. Zwłaszcza panie są metą, (niezły ma gust) dla rakarza miejskiego. W ubiegłym tygodniu jedną złapał. Tłumaczył się, że chciał złapać jej faworyta pincza, ale że go właścicielka zasłaniała, więc nie wina w tem rakarza, że sznurek objął nóżkę pani powyżej trzewiczka. Złapana pani próbowała nawet zemdleć, byleby uratować pinczusia, ale nie udało się. Pincz w klatce. Ona wolna.

To już o wiele lepiej udało się innej pani. Nazywa się — powiedzmy — Julia. Była w niedzielę rano w parku Kilińskiego. Bardzo wykształcona, a mimo to piękna... Błądziła po ścieżkach w pełnem słońcu i marzyła... Obok niej ładny chart czystej krwi. Wreszcie siada w cieniu. Gorąco dochodzi do 30 stopni, młoda krew strzela w cudną twarzyczkę, nawet kropelki potu „całują“ białe czoło, jakby powiedziała jedna ze znanych autorek. Przypadek (zawsze on!) zrządził, że szedł właśnie tą ścieżką nie młody już, ale urodziwy mężczyzna.

Nie nazywał się wprawdzie Romeo, ale za to był porucznikiem. Oficerowie, jak wiadomo, mają szczęście. Są wogóle ludzie, którym Bozia nie szczędzi łask... Porucznikowi wpadła panna Julia odrazu w monokl. Omal go nie stłukła. O zaczepkę oficerowi nie trudno, zwłaszcza, gdy jest przytem pies. Skłonił się tedy jak mógł najgrzeczniej i spytał, jak mógł najuprzejmiej, przedstawiając się, jak mógł najskromniej, czy ten chart jest do sprzedania. Panna Julia nie dała żadnej odpowiedzi. Pewnie nie słyszała, więc powtarza pan porucznik swoje pytanie. Piękna Julia spoglądnęła na p. porucznika i po małej pauzie wstała z ławki mówiąc:

— Idź pan do rakarza psy kupować.

I odeszła. Ale p. porucznik nie byłby chyba oficerem, gdyby dał za wygraną. Tak piękną sposobność zaniedbać! Poszedł za nią. Idą. Lecz w tem staje się coś niezwykłego. Porucznik wraca, a chart za nim. Panna Julia zirytowana. Woła na Cezara (tak się pies nazywał). Pies ogląda się, lecz idzie dalej za porucznikiem. P. Julia staje, lecz pies wraz z porucznikiem coraz bardziej się oddalają. Co tu robić? Trzeba wracać, bo pies przepadnie, a ojciec panny Julii na śmierć by się zamartwił. „Cezar! Cezar!“ — woła panna J. przyspiesza kroku. Ba, ale kto wie, dokąd on ją prowadzi? A tu tak gorąco, tak rozpaczliwie gorąco. Gdyby choć usiadł. Ale on idzie, idzie, idzie... Ta psia logika była dla pani Julii zagadką nierozwiązalną. Choćby już dla samego rozwiązania tej zagadki, wartoby nawiązać z porucznikiem.

„Panie, panie poruczniku! — ozwał się cudowny głosik Julii.

— O, pani mnie woła? — wreszcie stanął w oddaleniu 30 kroków. Panna Julia zbliżyła się nieśmiało...

— Muszę, bo mi pan psa zabrałeś...

— A czy to ja jestem rakarzem? – spytał uśmiechając się porucznik.

— A więc tylko o ten dowcip chodziło? Lecz mniejsza o to, skoro się panu sztuczka udała, to pragnę wiedzieć w jaki sposób skaptował pan mego psa?...

— O, — z tem pójdzie trochę trudniej, to długa historya, pani pozwoli, usiądźmy tu na ławeczce, a opowiem pani wszystko. Pozwoliła — już siedzą.

I co się pokazało? ten porucznik to wcale nie porucznik, ale bardzo przyjemny cywil i wyższy urzędnik, który mieszka od trzech miesięcy naprzeciw mieszkania rodziców panny Julii. Podobała mu się, ale nie mógł zwrócić na siebie uwagi, więc umyślił ten fortel. Ubrał swój dawny mundur (był oficerem rezerwowym) bo zdawało mu się, że w tym charakterze prędzej wpadnie jej w oko. Szpiegował, dokąd idzie i poszedł za nią...

— Ale z psem, jak pan z psem urządził.

— Dobry szpieg o wszystkiem pamięta.

Zauważyłem, że pies głodny, kupiłem po drodze wędzonkę, a gdy z nim pani z parku wyjść zamierzała, rzuciłem mu pierwszy ochłap. To go wzięło... na jedno moje skinienie wrócił... i... wygrałem, oto mam honor klęczeć (tu ukląkł) i błagać o odpowiedź, czy fortel się udał?...

— Fortel się udał — wyszeptała panna Julia, ale tylko z psem...

Porucznik zerwał się na nogi.

– Tak panie, bo ja jestem od trzech miesięcy zaręczona, a mój narzeczony jest we Wiedniu przy ministeryum skarbu... za sześć miesięcy ślub...

Pan porucznik wrócił do domu i bezzwłocznie wniósł prośbę o przeniesienie do Krakowa. Panna Julia nie omieszkała opowiedzieć o wszystkiem rodzicom, a nawet sąsiadkom. Dziś rzecz krąży...

W jednej z tut. redakcyj zgłosili się dwaj abituryenci ze świadectwami dojrzałości i oświadczyli gotowość objęcia funkcyj kelnerów na „zwykłych warunkach“. Dlaczego nie zgłosili się wprost do jakiejś restauracyi lub kawiarni. a poszli z tem do redakcyi, to jest tajemnicą tej redakcyi, pogrążonej w upałach sezonu ogórkowego.

Sama jednak rzecz obudziła interes nawet u – kelnerów. Całkiem po amerykańsku.

Chęć pracy i zarobku wetknęła młodym abituryentom do łapy — ręcznik. A jaki to piękny będzie ten zarobek... Za każde dwa centy — całuję rączki ...anowanie ...adam do nóg... Wyrzucanie pijanych gości, otwieranie korków, interwencya u damy bufetowej... całkiem stosowne zajęcie dla abituryentów. A kiedyś potem, gdy się z kelnera wyrobi płatniczy, to gościowi obliczy rachunek za czarną kawę za pomocą logarytmów.

Szkoda, że już tylko mało miejsca poświęcić mogę wyścigom konnym we Lwowie, festynom, których mamy tysiąc i jeden i wyborowi prezydenta miasta.

Wybór prezydenta miasta odbywał się w mieszkaniach prywatnych, w kawiarniach, a nawet na ulicy.

Co do festynów nastał we Lwowie istny szał festynowy. Jeden afisz siedzi na drugim. Całe miasto zalepione afiszami. Gdzie jakie stowarzyszenie istnieje, choćby liczyło sześciu członków, urządza festyn. Cel zawsze dobroczynny, tj. na dochód drukarni, rozlepiania afiszów, handlu tandyckich zabawek na fanty, skład ogni sztucznych. Dla zachęcenia dodaje się na afiszu: „bez loteryi fantowej.“

Wyścigi konne trwały trzy dni. To jest wszystko, co o nich powiedzieć można.

Nasi artyści wrócili z Kijowa zdrowi.

Klewe.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

9 (Ciąg dalszy).

— Wyznać ci muszę otwarcie, że wieść o powrocie twego ojca wywołała w mieście ogólne zdziwienie, bo nikt nie przypuszczał, aby Rudolf Springer odważył się powrócić tutaj po tem wszystkiem, co zaszło przed jego odjazdem.

Z niemem zdumieniem spojrzała Helena w twarz mówiącego, którą krasił zwykły, łagodny uśmiech.

— Nie wiem, co mają znaczyć pańskie słowa, panie doktorze! — odezwała się drżącym ze wzruszenia głosem — ale zaklinam pana na wszystko, powiedz mi wprost, o co obwiniają mojego ojca i co tutaj zaszło przed jego wyjazdem do Ameryki!

— Więc on pani nic nie powiedział? Tak! to było do przewidzenia! Własnemu dziecku nie wspomina się chętnie o takich rzeczach i gdyby koło poinformowanych o tych wypadkach ograniczyło się tylko na mnie i na twoich krewnych, z pewnością nie dowiedziałabyś się o niczem! Ale ludzie są złośliwi i lubią powiększać błędy innych, dlatego też lepiej będzie, jeśli szczerą prawdę usłyszysz z ust człowieka, który był serdecznym przyjacielem twojego ojca i który na tej podstawie ma prawo żądać od ciebie zaufania! Ale nie tu i nie teraz opowiem ci wszystko. Jeśli chcesz, to jutro rano będę oczekiwać cię w mojej kancelaryi, gdzie nietylko dowiesz się o wszystkiem, ale będziesz mogła oprócz tego przejrzeć odnośne dokumenty!...

To rzekłszy, starzec podał jej rękę i wyszedł, a Helena udała się czemprędzej do swoich pokojów i drzwi za sobą zamknęła na klucz, jakgdyby ją ścigał jakiś nieubłagany prześladowca. Wtedy dopiero pewna, że już nikt z kochanej familii Springerów nie zakłóci jej spokoju, z cichym płaczem rzuciła się na kanapkę.

Gdy po godzinie takiego rozpaczliwego łkania podniosła się w końcu i poczęła rozbierać, z pod rozpiętej sukienki wypadł jej starannie złożony list. Na ten widok lekki uśmiech okrasił zbolałe rysy dziewczęcia. Podniosła list ze ziemi, odczytała go parę razy i zaczęła do ust przyciskać. Uczucie ulgi owładnęło jej duszę. Teraz przyszło jej na myśl, że nie jest przecież tak samotną na świecie, bo tam za oceanem ma przyjaciela, który pospieszy na każde jej skinienie. Teraz z uśmiechem myślała o tych tajemniczych zeznaniach, jakie ceniony adwokat miał jej nazajutrz poczynić.

Kancelarya adwokata Harrasa, do której na dzień przed południem Albertyna odprowadziła swoją kuzynkę, mieściła się w parterze domu, odległego o jakie sto kroków od kamienicy Springerów. a była tak ciemna i posępną, że nawet w południe musiały się w niej świecić lampy gazowe. Przed drzwiami kancelaryi Albertyna pożegnała kuzynkę, a gdy ta prosiła ją, aby zechciała dalej jeszcze jej towarzyszyć, rzekła krótko:

— Doktor nie lubi nieproszonych wizyt, a zresztą otwarcie mówiąc, mam dość jego wieczornych wizyt i nie znajduję w tem przyjemności, aby go jeszcze po dniu oglądać!

Helena została sama i nacisnąwszy klamkę, z bijącem sercem weszła do przedpokoju. w którym za starymi pulpitami, zarzuconymi ogromnymi foliałami, siedziało dwóch młodych chłopaków, skrzypiąc zawzięcie gęsiemi piórami po siwych arkuszach papieru. Na widok wchodzącej, w drugim kącie pokoju, podniósł się z za biurka siwobrody starzec, który z uprzejmym ukłonem, poprawiając ciemne okulary, zapytał ją, czego sobie życzy. Gdy tylko Helena wymieniła swe nazwisko, starzec ukłonił się jej raz jeszcze z wielkim szacunkiem i znikł za drzwiami, na których widniał bilet wizytowy doktora Harrasa. Po chwili doktor, ubrany w czarny strój wizytowy, z miną pełną dobroci i łagodności, sam wyszedł na przyjęcie Heleny i powitawszy ją bardzo serdecznie, wprowadził do swojej kancelaryi, poczem zamknął przezornie na klucz drzwi od pokoju pisarzy. Załatwiwszy się z tem, podał dziewczęciu krzesło koło biurka a sam siadł na swoim fotelu i urządził taki manewr z umbrą, przysłaniającą lampę, że światło jasną smugą padało na twarz Heleny, podczas gdy on był zakomicie ukryty w cieniu.

Ceniony adwokat zrazu rozpoczął obojętną rozmowę, na którą Helena odpowiadała tylko półsłówkami. Trwało to dość długo i wkońcu biedne dziewczę, dręczone trwogą i niepewnością, samo poczęło prosić doktora, aby opowiedział jej to, co wspominał, że wie o jej ojcu. Doktor Harras zrazu wzbraniał się napozór, ale gdy dziewczę ponowiło prośby, zagłębił się jeszcze bardziej w swym fotelu i cichym, łagodnym głosem zaczął mówić:

— Twój ojciec, moje dziecko i twój stryj, byli jedynymi dwoma synami Bernarda Springera, tutejszego kupca, który nietylko w naszem mieście ale i w całym kraju cieszył się całkiem słuszną opinią jednego z najuczciwszych ludzi i który ponad majątek przekładał swe dobre imię i czyste sumienie.

W takich też zasadach wychowywał swych synów, z których twój ojciec był starszym. Stosownie do życzenia Bernarda Springera, który obdarzał mnie swem kompletnem zaufaniem, po jego śmierci starrszy syn miał zostać szefem firmy, a młodszy powinien go był słuchać i tylko korzystać z pewej części majątku. Twój stryj, Franciszek, z natury skromny i niewymagający, uważał to za całkiem słuszne i zapewne byłby żył w zgodzie ze starszym bardziej uprzywilejowanym bratem, gdyby ten brat nie był postradał miłości ojcowskiej i stanowiska, jakie miał zapewnione. Nie myślę drażnić twych uczuć i opowiadać wszystkiego, lecz ograniczę się tylko do faktów, których nie mogę pominąć milczeniem. Poczciwy Rudolf z pewnością nie miał złego charakteru, ale był słaby, każdemu dawał sobą kierować. Ta jego lekkomyślność sprowadziła go też na złe drogi. Rudolf wpadł w złe towarzystwo i zaczął hołdować takim uciechom, tego rodzaju rozrywkom, które nie zgadzały się wcale z surowemi zapatrywaniami jego ojca. Jeśli już udawało mu się ukryć te zabawy i hulanki przed czujnem okiem starego Springera, to trudniej było mu zataić, że w biurze prawie nic nie robił. Ja wówczas byłem świadkiem, jak twój stryj Franciszek całemi nocami siedział w biurze i odrabiał prace, powierzone twemu ojcu, byleby tylko nie dopuścić do jakiegoś starcia między Rudolfem a jego ojcem. I on i ja dokładaliśmy wszelkich starań, aby poczciwego Rudolfa sprowadzić ze złej drogi, aby go wyrwać z tych sieci, w jakie się dał przez swoją lekkomyślność zawikłać. Ale wysiłki nasze były bezowocne i wreszcie nastąpiła katastrofa, ale tak straszna, tak okropna, jakiej nigdy nie przypuszczaliśmy nawet!...

Tu doktor Harras westchnął ciężko i po chwili milczenia zaczął dalej:

— Pewnego razu zabrakło nagle w kasie znaczniejszej sumy pieniędzy. Zaczęto badać księgi i wówczas wyszedł na jaw cały szereg fałszerstw i malwersacyi, dokonanych z całem wyrafinowaniem. Wówczas Bernard Springer postanowił przeprowadzić ścisłe śledztwo i oddać w ręce sprawiedliwości tego, który w tak haniebny sposób nadużył jego zaufania. Ale zaledwie wydał odpowiednie zarządzenia, gdy starszy syn wstał od swego biurka, ze zmienioną, pobladłą twarzą poprosił go o rozmowę w cztery oczy i w gabinecie ojca przyznał się do wszystkiego!...

Wspomniałem ci już moje dziecko, że Bernard Springer należał do tych ludzi, dla których prawo jest wszystkiem! To też wysłuchawszy spowiedzi Rudolfa, bez wahania postanowił oddać go w ręce sprawiedliwości... Wówczas to twój stryj Franciszek przybiegł do mnie i na kolanach prosił, abym się wstawił do ojca za jego bratem! I istotnie obaj razem pospieszyliśmy do kantoru Bernarda Springera, obaj razem poczęliśmy go błagać, aby odstąpił od swego strasznego postanowienia. Po długim czasie starzec zmiękną!, odstąpił od swego pierwotnego zamiaru, ale przysiągł, że synowi nawet na śmiertelnem łożu nie przebaczy i tego samego dnia zniszczył pierwotny testament. W drugim kodycylu generalnym spadkobiercą zamianował twego stryja Franciszka, a Rudolfowi pozostawił tylko drobną część spadku, taką jaką prawo zastrzega dla wydziedziczonych. A przytem... przytem jeszcze tego samego dnia kazał Rudolfowi swój dom opuścić!...

Wszystkie moje prośby, wszystkie me perswazye i przedstawienia były bezowocne i musiałem sporządzić nowy testament stosownie do woli i wskazówek nieugiętego starca. Swoją drogą byłem przekonany, że czas złagodzi wszystko, że Rudolf poprawi się i znów odzyska serce ojca. Niestety! opatrzność zrządziła całkiem inaczej. Wzruszenie było za wielkie na siły starca. Jeszcze tego samego wieczora Bernard Springer rażony apopleksyą konał na swojem łożu, przy którem byłem tylko ja z Franciszkiem, bo Rudolf powiadomiony już o zmianie testamentu siedział w swoim pokoju i kiedy pobiegłem doń z wieścią, że ojciec umiera i że powinien się spieszyć, jeśli chce go jeszcze zastać przy życiu, odpowiedział mi krótko: „Ja już nie mam ojca!" i istotnie nie pokazał się w pokoju umierającego. Że zaś z tego powodu w następnych dniach obaj bracia boczyli się na siebie, to pani dobrze zrozumie, choćbyś nawet z miłości dziecięcia uznawała, że ojciec twój postąpił całkiem słusznie w tym wypadku!

Rudolf z chmurną twarzą chodził po całym domu i o zmarłym, który leżał jeszcze na katafalku, wyrażał się w szorstki, ordynarny sposób, a ze mną i z Franciszkiem słowa nawet nie chciał zamienić, chociaż chyba my obaj w niczem nie zawiniliśmy przeciwko niemu. W pogrzebie wziął udział i jakaś radość nawet błyszczała w jego oczach, gdy składano starca do grobu. A skoro Franciszek nie pomny na wszelkie urazy, nad otwartą mogiłą wyciągnął doń pojednawczą rękę, obrócił się ostentacyjnie do brata plecami! Tymczasem w domu zmarłego, wszystko pozostało tak jak było, nawet o ów nowy testament, który zmarły w moich oczach przy Franciszku schował do swego biurka, nikt się nie troszczył. Dopiero na drugi dzień miano całą sprawę urzędownie załatwić.

Lecz w nocy stało się coś... coś potwornego! Franciszek zrozpaczony po stracie ojca w żaden sposób nie mógł usnąć i wstał, spodziewając się, że przechadzka uspokoi jego nerwy. Gdy wyszedł na korytarz, zdawało mu się, że na pierwszem piętrze, gdzie były pokoje jego ojca, słychać jakieś dziwne szmery, jakieś pukanie i stukanie, którego myszy lub szczury nigdyby sprawić nie mogły. Wszyscy wiedzieli dobrze, że Bernard Springer w swojem biurku trzymał nie tylko najważniejsze papiery handlowe, lecz także przechowywał w niem znaczne sumy pieniężne. Franciszek wiedział o tem, tak samo jak i inni i był przekonany, że jakiś złodziej, dowiedziawszy się o śmierci ich ojca, zakradł się, aby zdobyć łup obfity.

Gdy tylko ta myśl zaświtała mu w głowie, bez długich namysłów uchwycił sztabę żelazną, stojącą na korytarzu, i na palcach ukradkiem wdrapał się na drugie piętro. Podejrzany szmer istotnie dobywał się z pracowni zmarłego. Franciszek, stanąwszy pod drzwiami, przez szparę dojrzał, jak w pokoju jego ojca przy bladem świetle stoczka jakiś człowiek, gospodarował jak u siebie w domu. Na ziemi leżał jeszcze młotek i dłuto, którymi złodziej rozbił biurko. Szuflady wszystkie były powyciągane, a ta, w której znajdowały się banknoty, już całkiem opróżniona. Złodziej trzymał właśnie w ręku jakiś akt, który widocznie kończył czytać, bo nagle rozdarł go na dwie części i przytknął do stoczka...

Z okrzykiem: „Złodzieje! Rabusie!" wywalił Franciszek drzwi i rzucił się na złodzieja. Już podniósł sztabę w górę, już miał ją zpuścić na głowę zbrodniarza, gdy ten obrócił się nagle i krzyk rozpaczy wydarł się z piersi twojego stryja, bo w owym złodzieju poznał swego rodzonego brata Rudolfa!...

— Mojego ojca?!... nie! nie! to nieprawda! pan kłamiesz panie doktorze! to niemożliwe! — krzyknęła na głos Helena, która gotychczas z pobladłą twarzą przysłuchiwała się temu opowiadaniu z bolesnem milczeniem. — To, co pan mówisz, jest nędznem, podłem oszczerstwem! Do czegoś podobnego mój ojciec nie byłby nigdy zdolnym!...

— Rozumiem boleść pani, moje drogie dziecko! — rzekł ze swym stereotypowym uśmiechem dobroci ceniony adwokat — ale niestety jest to święta, szczera prawda i jeśli jeszcze chwilę zaczekasz spokojnie dam ci na to niezbite pisemne dowody!...

Helena z rozpaczliwem łkaniem usunęła się znów na fotel, a doktor mówił dalej swoim łagodnym, słodkim głosem:

— W pierwszej chwili Franciszek osłupiał, lecz po chwili przyszedłszy do siebie, wyrwał z rąk Rudolfa ów, podarty na pół spalony dokument. Był to drugi testament zmarłego, mianujący Franciszka uniwersalnym spadkobiercą!... Nieszczęśliwy Rudolf w zaślepieniu swem zapomniał, że żyli jeszcze świadkowie, którzy pod przysięgą mogli zeznać, iż ten testament istniał doprawdy! Rzućmy zasłonę na tę straszną scenę, jaka wówczas rozegrała się między braćmi. Nikt jej nie widział i nikt nie wie, że Franciszek cudem tylko uniknął ciosu, który Rudolf wymierzył nań sztabą żelazną, wyrwaną z rąk brata, niespodziewającego się nawet takiego napadu. Na drugi dzień wczesnym rankiem zawezwano mnie do domu Springerów i obaj bracia wraz ze mną zamknęli się w pracowni swojego ojca. Wówczas to poznałem i nauczyłem się cenić szlachetność twojego stryja. Franciszek obiecał bratu wszystko przebaczyć, o wszystkiem zapomnieć pod nader łagodnymi warunkami. Po pierwsze bowiem zażądał, aby Rudolf podpisał ten dokument, który mu w niczem nie uwłacza, a który możesz sama przeczytać, moje dziecię!...

Ciąg dalszy nastąpi.

Legenda o Św. Piotrze.

Stało się to w tym czasie, gdy po długich cierpieniach na ziemi Zbawiciel i Św. Piotr cieszyli się wiecznem szczęściem w raju.

Trudno wyobrazić sobie, jakiego szczęścia doznawał Święty Piotr, będąc w raju, skąd widział cały świat, gdy przedtem, jak żebrak nieraz pukał do cudzych drzwi i błąkał się po ziemi — w ciemności i mgle, nie wiedząc często gdzie znajdzie schronienie przed burzą i chłodnemi nocami.

Doznając tyle rozkoszy i radości Św. Piotr często jednak zadawał sobie pytanie, jak długo może trwać takie szczęście.

Nie mógł się pozbyć ciągłych wątpliwości i niepokojów wypływających z tych pytań, gdy nie był w stanie pojąć, dlaczego ponieśli tyle cierpień, tyle męk, jeśli Zbawiciel był panem świata.

Teraz, gdy go już nic nie martwiło, radość jego była tak wielką.

Teraz mógł nawet śmiać się, przypominając sobie wszystkie męki i prześladowania, jakie spotykały ich na ziemi i jak ciężką była dola jego i Zbawiciela.

Przypomniał sobie, że jak pewnego razu siły go zawiodły i dalsze istnienie zdawało mu się już nie do zniesienia, a wówczas podniósł się w nim bunt i zaczął złorzeczyć.

W takiej chwili Zbawiciel spokojnie i w milczeniu poprowadził go za sobą, aż stanęli przed wysoką górą i zaczęli się na nią wspinać, minęli miasto zbudowane u podnóża góry, zamek wznoszący się nad nimi, przeszli około chat rolników pustynnych chałup. Szli długo, aż doszli do tego miejsca, gdzie były tylko pustynne skały, pozbawione roślinności i drzew, gdzie nie było już ludzi ani zwierząt, prócz chaty jednego pustelnika, który dawał schronisko tułaczom, szukającym zapomnienia mąk życia.

Przechodzili przez śnieżne pola, mieszkanie śpiących, aż doszli do takich lodowych skał, po których nie mogła chodzić nawet sarna. A tam wśród tylu śniegów Zbawiciel znalazł małego ptaszka, zmarłego z zimna i położył sobie na piersi.

Szli dalej, dalej... było coraz ciemniej i zimniej... Św. Piotrowi zdawało się, że już są blisko królestwa śmierci. Wiatr zimny jak sama śmierć uderzał im w twarz i coraz gęstsza mgła otaczała ich ze wszystkich stron. Wzrok nie spotykał nic żyjącego — a nie przeszli jeszcze ani połowy drogi.

Wówczas zapytał Zbawiciela, czy nie czas już wracać.

— Jeszcze nie — odpowiedział Zbawiciel — gdy chcę pokazać ci coś, co ci doda męstwa do zniesienia dalszych prześladowań i prób.

I szli dalej przez ciemności i mgły i lodowy chłód, aż wyrosła przed nimi skała lodowa, zagradzając im przejście.

— Skała ta — rzekł Zbawiciel — jak ściana otacza całą górę i niema nigdzie przejścia. Nikt z żyjących nie ujrzy nigdy, co się za nią dzieje, albowiem jest to raj, gdzie przebywają dusze wybranych.

Ale wiara Św. Piotra nie była tak silną i na twarzy Zbawiciel dojrzał wyraz niedowierzania.

— Tam niema ani chłodu, ani ciemności — ciągnął dalej Zbawiciel — tam panuje wieczna wiosna, opromieniona jasnemi promieniami słońca i blaskiem cichych gwiazd.

Ale Piotr jeszcze nie dowierzał.

Wówczas Zbawiciel wziął małego ptaszka, podniesionego na śniegu, przerzucił go przez ścianę — tam, gdzie według jego słów znajdował się raj.

I Św. Piotr usłyszał nagle radosny szczebiot ptaszka, a wówczas zdumienie jego nie miało granic.

Obrócił się do Zbawiciela i rzekł:

— Wracamy na ziemię, będziemy dalej znosić cierpliwie i bez szemrania dalsze prześladowania, gdyż widzę, że powiedziałeś prawdę; wierzę, że jest na świecie miejsce, gdzie życie tryumfuje nad śmiercią.

Zeszli z góry i pozostali na ziemi — do tej chwili Św. Piotr nie dowiedział się nic nowego o raju, ale w duszy jego pozostawało wieczne pragnienie ujrzenia miejsca ukrytego za ścianą. Teraz pragnienie spełnione; jest w raju, czerpie rozkosz z niewyczerpanego źródła i niema już nic więcej, do czego rwałaby się jego dusza.

Minęło siedm szczęśliwych dni pobytu w raju, gdy przed Zbawicielem stanął anioł i oddał siedmiokrotn e pokłon, zawiadomił o wielkim smutku Św. Piotra.

Słysząc to Zbawiciel, poszedł szukać Św. Piotra i znalazł go leżącego na ziemi w jednym z najpiękniejszych zakątków raju; Św. Piotr rozdarł na sobie suknie, posypał głowę popiołem i jęczał z bólu.

Widząc jego mękę, Zbawiciel usiadł przy nim tak, jak niegdyś siadywali, gdy przebywali jeszcze razem wśród prześladowań i cierpień na ziemskim globie

— Dlaczego cierpisz Św. Piotrze? — zapytał.

Ale Piotr był tak przybity cierpieniem, że nie mógł mówić.

— Z czego powstała ta męka? — zapytał po raz wtóry Zbawiciel.

Po drugiem pytaniu Św. Piotr zerwał złoty wieniec z głowy i rzucił pod nogi swemu nauczycielowi, chcąc pokazać tem, że zrzeka się wszelkiej godności, któremi nagrodził go Zbawiciel.

Ale Zbawiciel rozumiał dobrze głębokie cierpienie Piotra i nie zwrócił żadnej uwagi na jego postępek.

— Odpowiedz że nareszcie, co cię tak smuci — zapytał raz jeszcze Zbawiciel a w jego głosie drgała miłość i łagodność.

Św. Piotr powstał. Z wyrazu jego twarzy można było zrozumieć, że nietylko głębokie cierpienie przepełniało jego duszę, był w niej i srogi gniew.

Zbliżył się do Zbawiciela z błyszczącemi gniewem oczami i rzekł.

— Nie chcę więcej służyć tobie i nie pozostanę dłużej w raju.

Nie pierwszy raz buntował się Piotr i okazywał swoją małoduszność, więc Zbawiciel jak dawniej starał się go uspokoić.

— Zrobisz jak zechcesz rzekł — ale wpierw wytłumacz, jaki jest powód twej męki?

— Miałem prawo spodziewać się lepszej nagrody za wszystkie męki i prześladowania poniesione na ziemi, gdy tymczasem... Miałem na ziemi starą matkę — dwa dni temu umarła.

— A, więc to przyczyna twego smutku! — rzekł Zbawiciel. Cierpisz że nie jest z tobą w raju.

— Tak, odrzekł Piotr, a cierpienie jego było tak silne, że rozpłakał się i z duszy jego wyrwały się znowu jęki. Czy nie zasłużyłem na to, żeby ona była tu ze mną?

Gdy Zbawiciel poznał przyczynę rozpaczy Św. Piotra, uczuł wielki smutek, gdyż wiedział, że matka jego nie była godną raju. Całe życie myślała tylko o pieniądzach zawsze odmawiała wsparć i nie dała żebrakowi kawałka chleba.

Wiedział również, że Św. Piotr nie zrozumie tego, dlaczego matka jego nie może być zbawioną. I rzekł:

— Św. Piotrze, czy sądzisz, że matce twojej byłoby tu dobrze?

— Mówisz tak, żeby nie spełnić mej prośby; czy istnieje człowiek, któremu mogło by źle być w raju?

— Ten, którego nie cieszy radość innych nie może być szczęśliwym tutaj, odrzekł Zbawiciel.

— Alboż niema i takich w raju — ponuro zapytał Św. Piotr.

Zbawiciel zrozumiał, że Piotr mówi o nim. Zabolało go serce, ale zrozumiał, że przez usta Piotra przemawia cierpienie, więc czekał aż Piotr ukorzy się i zrozumie, że matka jego nie godna raju; ale dusza apostoła smutna i nie mogła się rozjaśnić.

Wówczas Zbawiciel wziął go za rękę i zaprowadził na wysoką skałę — ściętą jak ścianę i Piotr przekonał się, że dość tylko schylić się, aby ujrzeć piekło — państwo śmiertelne.

Na razie zdawało mu się, że to jakaś studnia bezdenna jakaś nieskończona otchłań. Ale gdy powoli oczy jego oswoiły się z ciemnością, zaczął rozróżniać różne przedmioty.

Ujrzał, że raj był na wysokiej górze, którą okrążała przepaść, na dnie której cierpieli męczarnie skazani za grzechy. Długo zlatywał, zanim dosięgnął dna.

Przepaść była tak głęboką, że promienie słońca nigdy tam nie przenikały i panował wieczny mrok nigdy nie rozjaśniony. Anioł rozjaśnił przepaść i Św. Piotr ujrzał co się działo na dnie przepaści.

— Była to bezkresna pustynia. Gdzieniegdzie sterczały ostre skały — a między niemi czerniały błota. Ani jednego drzewa, ani trawki. Żadnego śladu życia. Tylko na ostrych skałach siedzieli skazani. Starali się wpełznąć jaknajwyżej. Bronili miejsc swoich i Św. Piotr widział, jak niektórzy wznosili ręce do góry, tkwiąc wzrokiem po za ciemną przestrzeń przepaści. Drudzy z twarzą ukrytą w dłoniach milcząc znosili męki swoje. Nikt nie poruszał się, nawet leżący w błotach nie poruszali się wcale i nie starali się wydostać się z niego.

(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarada.

Pierwsza, druga i *trzecia,*
Lecz każda z osobna
To litery — niezgadnąć
Zatem nie podobna.
Z *piątą, czwarta* wyziera
Chytry lis chybiła,
Gdy widzi że psa niema
Co za kudły chwyta.
Szósta, piąta, wołają
Narodni Rusini,
Gdy kto w ich myśl coś mówi,
Lub w ich myśl coś czyni.
Całość — miasto; odgadnąć
Je nie wielka sztuka,
Niech łaskawy Czytelnik
W Rosyi go poszuka.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznacza redakcya książkę **„Wina i Kara“** Władysława Orkana.

Rozwiązania z Nru 26.

Rebus: Herbatę sprowadzają do nas lądem i morzem.

Szarady: I. Europa. – II. Konstantynopol.

Zadanie konikowe:
W życia wędrówce na połowie czasu
Obrawszy błędne manowców koleje,
Pośród ciemnego znalazłem się lasu.
O, jakże ciężko wysłowić te knieje,
Te puszcz pustynnych zaciernione dzicze,
Których wspomnieniem pamięć mi truchleje.

Kryptogryf: Wincenty Pol.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: J. Badura Rożdzień, Fr. Josefert Kraków, J. Haberman Mikulińce, A. St. Bassara Niwiska, T. Domain Sanok, Wł. Hałdziński Lichwin, St. Remiszewski Załawie, Stadnik Grabiny, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Cetera Dubiecko, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Mokrzycka Turbia, H. Banke Kraków, A. Kotowicz Lwów, K. Fuchs Peczeniżyn, M. Arbesbauer Lwów, St. Łaszkiewicz Słotwina.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. Helena Mokrzycka w Turbii. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Od Administracyi.

Zwracamy uwagę Pp. Prenumeratorów, że za każdą zmianę adresu należy przesłać administracyi 40 halerzy.

Prosimy o odnowienie prenumeraty na bieżący kwartał. Celem uregulowania nakładu, oraz celem uniknięcia niepotrzebnych reklamacyi, zaznaczamy, że wstrzymamy wysyłkę następnego numeru tym, którzy prenumeraty przed wyjściem tego numeru nie odnowią.

Każdy nowy prenumerator otrzyma bezpłatnie początek senzacyjnej powieści, osnutej na tle ostatnich wypadków w Królestwie polskiem, pod tytułem „BOJOWNICY“, którą to powieść drukują „Nowości Illustrowane“.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.